№ 33. Warszawa, dnia 16 (4) Sierpnia 1884 r. Rok IV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

Przed 50 laty.

800.000 serc drżało radosnym niepokojem, tyleż piersi oddychało ruchem przyspieszonym. Nadchodziła gorączkowo oczekiwana, wielka, pamiętna nietylko w historyi kajdan, ale i w dziejach świata noc, która tym nieszczęśliwym miała przynieść wybawienie. Ogłoszone prawo zapowiadało, że wszyscy oni po godzinie 12, z pierwszego na drugi sierpnia, będą wolni. Trzeba być zniżonym do ciężkiej doli konia lub wołu z pokrwawionym od jarzma i chomonta karkiem, z posiekanymi bokami, trzeba mieć nozdrza przebite kółkami a w ustach nosić ostre kiełzna a obok tego pozostać człowiekiem, ażeby zrozumieć, ile szczęścia, ile wstrząsających i rozrzewniających nadziej ta niezapomniana noc setkom tysięcy niewolników w swem łonie niosła. Postanowili też oni przepędzić ją bezsennie, na modlitwie i rzewnym płaczu. Jedni święcili ją w domach, inni na placach publicznych, inni w kościołach. Ostatni zebrali się już wieczorem. Mężczyzni, kobiety, dzieci — wszyscy, co mieli siłę przybyć na tę uroczystość, klęczeli wzruszeni, wyciągając ku niebu czarne, w ciężkiej pracy podarte ręce. Skazówka zegaru posuwała się wolno. Po każdym jej postępie serca uderzały silniej, w łzach odbijały się coraz mocniej blaski radości. Zegar zaczął wydzwaniać godzinę dwunastą. Zdawało się, że on wygłasza jakieś wielkie słowa, składające wyrok sprawiedliwości. W przestankach między temi słowami, brzmiącemi majestatycznie śród ciszy, szeptały tylko stłumione, zaparte w piersiach oddechy zebranego tłumu. Nareszcie ostatnie uderzenie — rozlega się wstrząsający krzyk—wyzwoleńcy padają sobie w objęcia, płacz odbiera im mowę—szlochaniem tylko i urywanymi wyrazami witają pierwszy uroczysty dla nich wschód słońca swobody.

Wielu świadków opisało ten wspaniały obraz wyzwolenia murzynów w koloniach angielskich przed 50 laty, którego pamiątkę święcono przed kilkunastu dniami; nie widział go jednak zacny Wiliam Wilberforce, niezmordowany obrońca niewolników, którego duch w owej pamiętnej nocy unosił się nad nimi. Całą swą działalność parlamentarną i obywatelską poświęcił tej sprawie i umarł, nie doczekawszy jej ostatecznego tryumfu. Umierającemu jednak przyniesiono wiadomość, że obie Izby przyjęły akt wyzwolin. W trzy dni potem (26 lipca 1833 r.) skonał z radosnym uśmiechem na ustach.

Obok Wilberforce'a historya zapisała szereg nazwisk opromienionych sławą w tej samej walce. Już w r. 1787 Tomasz Clarkson i Granville Skarpe założyli stowarzyszenie, działające przeciwko handlowi niewolnikami. Czterdzieści lat o wyzwolenie murzynów upominał się wytrwale Zacharyasz Macaulay i swój miecz bojowy włożył do rąk syna, słynnego historyka, który go rzucił na szalę głosów parlamentu w r. 1833. Uczonych wspierali w tej pracy mężowie stanu (Grey, Brougham i in.), a nie można także odmówić zasługi i wpływu ludowi angielskiemu. Przy wyborach do słynnego parlamentu reformowanego obnoszono w procesyach partyi liberalnej chorągiew z wyobrażeniem murzyna, zakutego w kajdany, i z napisem: „czyż nie jestem człowiekiem i bratem?" Szlachetny ten prąd przeniknął wielu deputowanych i pomógł do wyszczerbienia muru oligarchii, broniącej zawzięcie zysków, ciągnionych z tej sromotnej hańby. Ale niepodobna już było obronić zgniłego i podmytego okopu. Chociaż „akt emancypacyi" wyznaczał 7 lat na wyzwolenie zupełne, niektórzy plantatorowie darowali swym niewolnikom odrazu całkowitą swobodę i — wbrew przewidywaniom dbałych o „business" na murzyńskiem inwentarzu oparty — więcej wygrali i nie stracili sił roboczych.

Pięćdziesiąt lat już minęło od owej chwili, a Europa tak przyzwyczaiła się do równości ludzkiej, że nie wraca myślą do tego pamiętnego roku. Tylko narody z wrażliwszymi na podobną niedolę nerwami przypominają go sobie nieraz. Obecny jubileusz przebrzmiał dość głucho. Śledziliśmy, czy on nie nastroi lutni poetów, z natury przecie czułych, a gotowych śpiewać pod takiemi natchnieniami. Gdzie tam! Zajęły ich uwagę... przepiórki w zbożach, żaby w błotach, bociany na topolach. Nie spotkaliśmy w naszej prasie ani jednego wiersza, poświęconego tej uroczystości. Dziwne wyjałowienie się uczuć, czołgających się po nizinie życia i niezdolnych wzlecieć na jego wyżyny, na wyniosłe pomniki historyi. Poziom umysłowy obniżają przedewszystkiem dzienniki, rozbiegane w pogoni za zbrodnią, skandalem, za nowinami krzykliwemi lub dobierające wytrychów dla otwarcia gabinetów dyplomatycznych. Czy ks. Bismark przyjedzie do Gasteinu — to pytanie bardziej zajmuje gazety, niż pamiątka zniesienia niewoli murzynów. I czy przynajmniej świat załatwił się ostatecznie z tą sprawą? Niedawno jeszcze „szlachetny marzyciel," apostoł „polityki chrześciańskiej," Gordon, przybywszy do Egiptu, dla ugłaskania wpływowych handlarzy niewolnikami pozwolił im na dalsze prowadzenie niecnego rzemiosła, a J. Bull wytłomaczył sobie ten krok swego syna „polityczną roztropnością." Na rękach więc starej Europy pozostały dotąd resztki plam hańby, którą cywilizacya zmyć każe, ale wszechwładny interes nie pozwala. Do 1 sierpnia 1834 przybędzie więc jeszcze kiedyś nowa data, która zaznaczy w dziejach ostateczne zniesienie niewolnictwa i która zakończy ohydną sprawę, rozstrzygniętą częściowo i sprawiedliwie przed 50 laty.

REWIZYA KONSTYTUCYI.

Stały ląd Europy miał czas przyzwyczaić się do patrzenia na Francyę, jak na swą polityczną przewodniczkę. Wszystko tam zawsze rozstrzygało się ogólnie, wszechludzko. Każde drgnienie w Paryżu dawało sygnał do podobnego drgnienia w Berlinie, Wiedniu, Rzymie. Wszelka zmiana w podstawach ustroju państwowego nad Sekwaną gromkiem echem odbijała się w sercach marzycieli i w umysłach praktycznych trybunów, skłaniała rządzące dłonie do popuszczenia cugli, lub do silniejszego ich ściągnięcia.

Tak było dawniej. Od lat trzynastu dzieje się inaczej. Trzecia respublika żyje dla siebie, pracuje mozolnie, ale wyłącznie na własny użytek. Coraz to mocniej wrasta ona w głąb narodu, darzy kraj porządkiem, pokojem i prawdziwą wolnością. Pozwala ona i dziś brać z siebie przykład, wywiera dobroczynny, choć powolny wpływ, ale przestała już być, na teraz przynajmniej, fontanną iskier, niecących dokoła wzniosłe popędy, niespełnialne nadzieje, zarzewia nowych słońc i trawiące pożogi zniszczenia.

Zmieniły się czasy i w Europie i we Francyi. W Europie po upadku tylu nadziej przestano wierzyć w amuletową własność pięknie ułożonych haseł, przestano wierzyć w możność ściągnięcia raju na ziemię potęgą dobrych chęci rozentuzyazmowanych proroków nowego świata. Francya miała możność przekonania się, że zamiary mierzyć potrzeba ilością istniejących sił, nie zapominając nigdy o warunkach świata realnego.

Prócz przyczyn, wynikających z ogólnego rozwoju pojęć, do wywołania takiego zjawiska przyczynił się także wypadkowy zbieg politycznych okoliczności. Wojna osłabiła mocno wszystkie ruchliwsze i śmielsze pierwiastki. Do Zgromadzenia narodowego, które wybrała Francya dla zawarcia pokoju, a które potem samozwańczo wzięło na się rolę Konstytuanty, weszły żywioły mocno różnorodne, ale w przeważnej większości zachowawczo - monarchiczne, chociaż wszelkich odcieni. Nie można było powtórzyć grzmiących oświadczeń pierwszych respublik.

Drugą okolicznością, co spowodowała obniżenie radykalnych dążeń, było zjawienie się pierwszego szczerego demokraty i republikanina, który jednocześnie posiadał takt i umysł prawdziwego męża stanu — jeżeli nie pierwszego bezwzględnie, to w każdym razie pierwszego, któremu okoliczności pozwoliły przeprowadzić myśl swą i zostawić ślad obranego kierunku w narodzie. Z wyjątkiem kilku postaci końca zeszłego wieku, wszyscy działacze rewolucyjni byli wyłącznie ludźmi opozycyi, ludźmi słowa. Gambetta pierwszy okazał się zdolnym do rządów i świadomie do zdobycia ich dążył, pozbywając się po drodze przestarzałych doktryn demokratycznego radykalizmu. Czyn zawsze zakreśla sobie skromniejsze granice, niż zuchwałe słowo.

Zgromadzenie narodowe zachowywało jako tako pozory ciała republikańskiego tylko do chwili usunięcia kłopotów kontrybucyjnych, potem natychmiast pozbyło się Thiersa i zaczęło coraz bardziej okazywać wrogie usposobienie ku ogłoszonej 4 września formie rządu. Miesiące schodziły za miesiącami na jałowych sporach. Kraj mógł się wreszcie zniecierpliwić i bezsilność uznać za nieodłączną cechę respubliki. Wytrawni wodzowie monarchicznych odłamów mogli się lada chwila pogodzić, mogli przeciągnąć na swoją stronę wahający się środek i którego kolwiek dnia szczyt państwa znowu ozdobić koroną. Trzeba było, bądź co bądź, wyjść z takiego fatalnego stanu rzeczy.

Gambetta zrozumiał to doskonale. Od zgromadzenia reakcyjnego niepodobna się było spodziewać konstytucyi, mogącej zadowolić respublikanów; wołanie o konstytuantę byłoby straconym głosem. Należało co najprędzej sprowadzić rozwiązanie się Zgromadzenia i przy następnych wyborach zdobyć większość, a dlatego trzeba było raz wydać na świat konstytucyę, jakąkolwiek, byle respublikańską, choćby tylko pozornie. Gambetta dla ocalenia Rzeczypospolitej robi na chwilę ustępstwa ze wszystkich niemal żądań dotychczasowych i zbliża się do lewego środka. Thiers pracował nad umiarkowaną, napoły orleanistowską, napoły respublikańską partyą Dufaure'a; Gambetta pociągnął za sobą na grunt wspólnego porozumienia się całą skrajną lewicę z wyjątkiem trzech ówczesnych „nieprzejednanych:“ Grevy'ego, Quineta i Blanca (Blanc w dziele o konstytucyi Vallona podaje 5-u). Ze łzami w oczach szli do urn za moralnym dyktatorem Francyi osiwiali weterani wolności, ale szli i konstytucya stanęła (luty, 1875 r.).

Hybrydyczny twór ten nie zadawalał nikogo. Respublikańska partya patrzała nań jak na przejściową, konieczną nieprzyjemność i gotowa była skazać na śmierć przy lada sposobności. „Rewizya“ stała się od pierwszej chwili naczelnym punktem programu. Pierwsza Izba (1875 — 1877), jak również i druga (1877—1881), zbyt wiele miały do czynienia z usuwaniem gruzów dawnej gospodarki, aby się mogły były zabrać do reformy konstytucyi. A przytem należało uzyskać zgodę senatu, który wciąż jeszcze zawierał większość reakcyjną.

Dopiero wybory 1882 r. (styczeń) dały w nim przewagę respublikanom. Ogół więc oczekiwał zmian ustawodawczych od trzeciej Izby.

Ażeby pojąć, w jakim kierunku zmiany iść powinny były i w jakim iść mogły, trzeba zdać sobie sprawę: 1-o z organicznych wad konstytucyi 1875 r. i 2-go zbadać do czego zdolną była nowo obrana Izba.

Główny, a nawet wskutek swej doniosłości jedyny brak konstytucyi zawierał się w tem, że była ona mieszaniną respublikańskich pozorów z monarchicznemi formami. Prezydent posiada wiele przywilejów królewskich, bez tych środków oddziaływania na kraj, jakie daje dziedziczność władzy i korona. Ministrowie w Izbie reprezentują tylko władzę wykonawczą, a przy pracach prawodawczych odgrywać muszą rolę przedstawicieli konstytucyjnego monarchy, z prawem *veta* co najmniej; nie mają żadnych niemal praw, a są za wszystko odpowiedzialni itd. To zmienić należało; co chwila czuć się dawały zgubne rezultaty takich niekonsekwencyj. Ledwie że zdołano poradzić sobie z Mac-Mahonem; w razie dostania się na prezydyalne krzesło przedsiębierczego pretendenta, mogło się ono przemienić w tron. Żaden rząd istnieć nie mógł; odpowiedzialne za swe opinie ministerya nie miały się o co oprzeć, musiały padać. Dla przeprowadzenia odpowiednich reform, trzeba było, aby kraj przy wyborach do nowej Izby kierował się jakąś myślą przewodnią, aby następnie w łonie tej Izby tkwiła jakaś skrystalizowana w plan dążność.

Dlatego też Gambetta przed rozejściem się kończących swą misyę deputowanych chciał przepchnąć projekt przywrócenia strąconych przez reakcyjną Izbę wyborów z listy. To dałoby reprezentacyi jaką taką jednolitość i całkowitość. Ale senat nie zawiódł tym razem oczekiwania swych twórców; projekt upadł i Izba wyszła z urn ruchoma w swych chęciach, jak obłoki na niebie, jak piasek dna wiślanego.

Co wypadało robić wobec takiego stanu rzeczy? Zaniechać zamiarów, odkładając je na odpowiednią chwilę? Ale kraj oczekiwał od Izby, od ministeryum Gambetty reform. Należało przytem wytrącić miecz z ręki radykalizmowi. Miecz ten ostrym nie był, miał wiele szczerb, przez czas zrobionych,

---

NA WIOSNĘ.

Pokojówka Frania, stojąc pode drzwiami sypialni swej pani, wahała się, czy ma je otworzyć i przerwać sen jej poranny, czy też odejść równie cicho, jak przyszła. Wzgląd jednak na szwaczkę, czekającą już od godziny, zniewolił ją do zapukania.

— Kto tam? — dał się słyszeć senny trochę głos ze środka.

— Szwaczka, proszę pani, przyszła i czeka od dawna.

— Czy to tak późno? Podaj-że mi prędzej szlafroczek i pantofle!

Po chwili pani była już zlekka przyodziana, a na progu ukazała się młoda dziewczyna, pytając, czy nie zawcześnie przychodzi.

— O nie, wszak to już dziesiąta, dziś nawet spałam za długo.

Ciemne, przymrużone jeszcze oczy pani domu zwróciły się ku nadchodzącej zrazu obojętnie, po chwili jednak znowu skierowały się w jej stronę i tym razem już dłużej zatrzymały się na twarzyczce i całej figurze szwaczki. Duże zwierciadło odbijało jednocześnie obie postacie niewieście: wysmukłą panią w złotawej bluzie powłóczystej i blondyneczkę kształtów okrągłych, w kwiecistej sukience letniej. Wprawne oczy pierwszej, uderzone kontrastem, dokonały szybkiej analizy, porównywając mimowoli swoje głębie ciemne, opasane niskiemi brwiami i czarną długą rzęsą, nosek dumnie wzniesiony i usta zarysowane energicznie, z bławatkowemi, zdziwionemi niby oczkami, noskiem filuternym i dziecinnie słodką buzią stojącego przed nią dziewczęcia. Ostatecznie w myśli pani wyłoniła się uwaga: jakież to świeże i naiwne dziecko, prawie wierzyć się nie chce, że to modniarka, czy szwaczka! Pani, przyzwyczajona do podobnej analizy, dokonywała jej prędko wprawdzie, ale systematycznie, składając wrażenie ogólne z pojedynczych; szwaczka natomiast, obrzuciwszy wszystko jednem spojrzeniem nieśmiałem, pomyślała sobie odrazu: pani prawdziwa, jaka ładna, bluza pewno od Zennety, a pokoik — istne cacko!

Właścicielka cacka przysuwała muśliny, wstawki i koronki, szwaczka mierzyła, obliczała. W końcu stanęła umowa co do kroju, wykończenia i ceny, nakoniec ukłon i odejście dziewczyny.

Przy kawie młoda pani, przepraszając męża za opóźnienie, opowiadała mu o swem przebudzeniu i skończonem zajęciu.

— Byłam zdziwiona, ujrzawszy nagle takie młodziuchne, anielskie prawie stworzenie. Dobrze się stało może, żem ci jej nie pokazała. Sądziłbyś pewno, że to wiosna we własnej osobie zleciała do mnie z pozaróż i bzów, kwitnących przed mojem oknem. A taka niby naiwna, jak pięcioletnie dziecko: tymczasem — jest to sobie szwaczka.

— Szwaczka? Jakiż to ma jednak związek z naiwnością?

— Nie udawaj-że i ty naiwnego, mój Zygmuncie; wszak wiesz lepiej niż ja, i to od niepamiętnych czasów, jakie są wogóle te niby pracownice, jak chętnie czepiają się chociaż niższych stopni tej ponętnej drabiny, na której szczycie królują dla was baletniczki i aktorki. Wiesz przecie, że nie mam złego serca lub pogardy dla pracy, ale nie mów mi o tych istotach, które na nią właśnie cień rzucają i tak rzadko zadawalają się cichem, uczciwem życiem.

— Alež przesadzasz, Helenko.

— O nie, pamiętam dobrze, jak często słowo „szwaczka“ obijało się o moje uszy

i zostawał w ręku nietęgich rębaczy, ale zawsze ciągłem migotaniem mógł drażnić ludność, spadając bez ustanku robiłby hałas i mógł w końcu to i owo nadłamać. Gambetta zdecydował się zmienić rzeczy drugorzędne, któreby jednocześnie dały możność zrobienia czegoś gruntowniejszego w przyszłości. Żądał więc rewizyi ograniczonej, w której głównymi punktami były: przetworzenie senatu i wybory z listy. Plama nigdy niezatarta leży na twórcach zamachu 26 stycznia: gabinet Gambetty upadł jedynie wskutek osobistych uraz, egoistycznych obaw i poziomych intryg, wraz z nim upadł na długi czas projekt rewizyi konstytucyi.

Tymczasem Clémenceau, Barodet i S-ka nie przestawali podburzać ludności stolicy i departamentów do żądania od Izb (w jaki sposób?) zmiany konstytucyi. Wprawdzie ś. p. Liga (początek 1883), ośmieszywszy tylko swych twórców, nie zrobiła żadnego wrażenia, ale za to w samem ciele prawodawczem sypać się zaczęły projekty rewizyi, które zajmowały czasi dawały możność obu opozycyom podkopywania respubliki. Trzeba to było usunąć.

Domaganiom się radykałów w żaden sposób zadosyć uczynić niepodobna, chociażby dlatego, że są oni partyą o tyle tylko, o ile podstawiają nogę istniejącemu rządowi, po za tem każdy ciągnie w inną stronę: Clémenceau jest zwolennikiem silnego rządu, Lannaissan chciałby znowu zupełnie takowy znieść, Clovis Hugues wyznaje zasady socyalno - rewolucyjne itd.

Najpoważniejszy jednak odłam (Clémenceau, C. Pelletan) uważa się za spadkobiercę Konstytnanty 1791 r. i żąda: zniesienia senatu, oddzielenia kościoła od państwa, mandatów rozkazujących (*mandats imperatifs*), skasowania armii regularnej i t. p. rzeczy.

Są to wszystko pomysły, które kiedyś miały swe znaczenie jako punkty wytyczne przy wytwarzaniu ogólnego poglądu na stosunki polityczne, ale dziś, wobec potrzeby *najpraktyczniejszego* urządzenia się, są tylko przestarzałą piosenką ochrypniętej katarynki.

Dziś senat nie może już być sprzymierzeńcem despotyzmu przeciw narodowi, bo powstaje z woli tegoż narodu. Przeciąganie zaś praw przez dwie aż Izby (a choćby nawet przez trzy) tylko korzyść przynosić będzie, jako rękojmia roztropności i środek dokładnego obznajmienia ogółu z daną sprawą. Oddzielenie kościoła od państwa wzmocniłoby klerykalizm. Mandaty rozkazujące ubezwładniłyby prawodawstwo. Żaden rząd, żaden mąż stanu takich karkołomnych projektów by nie poparł. Ani Izba, ani senat, ani kongres, z obojga złożony, nietylko nie potwierdziłby podobnej konstytucyi, ale nawet projektów nie dopuścił pod obrady. Dlatego też nieprzejednani żądali zwołania Zgromadzenia, upoważnionego przez naród wyłącznie do stworzenia nowej konstytucyi. Dziś obowiązujące ustawy na nic podobnego nie pozwalają, jest to więc środek rewolucyjny, zamach stanu.

Monarchiści, jako topniejąca garstka, chcą tylko bezładu, mętnej wody, aby zochydzić respublikę i nałapać stronników dla siebie i dla kościoła, a głównie wrogów dla istniejącego stanu rzeczy.

Aby raz nareszcie ubić tę gmatwaninę pragnień i żądań, aby zejść z palącego gruntu, Ferry, pomimo iż osobiście przeciwnym był podnoszeniu sprawy rewizyi, wciągnął ją do swego programu i poparł z niesłychaną energią. I on i wszyscy rządowi koledzy jego dowiedli w tym wypadku, że są godnymi uczniami Gambetty.

Nie wypadało teraz już stawić wobec Izby projektu wyborów z listy, tem bardziej, że reforma w tym względzie, dotykając zwykłego tylko, a nie zasadniczego prawa konstytucyi, da się przeprowadzić na prostej drodze prawodawczej, t.j. przez kolejne głosowanie Izb (jest już w tej sprawie wniosek Constansa). Projekt tedy rządu zawierał 4 punkty:

1) Uznanie Rzeczypospolitej za formę rządu, niepodlegającą żadnym napaściom.

2) Rozszerzenie koła wyborców senatu (z 43,000 na 70,000), pozostawiając nadal w tym razie podwójną reprezentacyę (t. j. mają prawo głosu raz już wybrani obywatele do Rad miejskich, do Rad generalnych, do Izby deputowanych), a także zamienienie dożywotnich senatorów na dziewięcioletnich.

3) Pozbawienie senatu prawa rozstrzygania spraw finansowych, w których i dziś nie ma on prawa inicyatywy.

4) Zniesienie corocznych modłów publicznych z racyi otwarcia się sesyj parlamentarnych.

Izba wyższa 3-ci punkt odrzuciła zupełnie, co do drugiego zgodziła się tylko dopuścić pod obrady zniżenie odpowiedniego punktu zasad konstytucyjnych do znaczenia zwykłego prawa, coby umożebniło reformę w każdym czasie (chodzi o bliskie wybory w styczniu 1885 rok).

Pomimo tej amputacyi, Ferry wymógł na Izbie przyjęcie rewizyi w tak szczupłych granicach. Kongres zwołany został na 2-i sierpnia do Wersalu na podstawie honorowego niejako rozwiązania się obu Izb, iż żadna sprawa, nieobjęta programem, poruszoną nie zostanie.

Komisya, wybrana do wstępnego przygotowania prac dla kongresu, jest złożoną wyłącznie ze stronników Ferry'ego. Kilka dni temu przedstawiła ona swój projekt, w którem się mieści zamiast 2 punktu rządowego wniosek zmiany znaczenia prawa o wyborze senatu w tem sensie, jak mówiłem wyżej. Zamiast zaś 3 punktu przybył wniosek żądający, aby w razie rozwiązania Izby nowe wybory urządzone zostały najwyżej w ciągu 2-ch miesięcy (zam. 3). Prócz tego pod obrady pójdzie, zdaje się, propozycya Andrieux, przyjęta już przez kongres, że książęta, członkowie domów panujących niegdyś we Francyi, nie mogą być obierani na prezydenta Rzeczypospolitej (projekt Floqueta i Roche'a, aby usunięto ich od wszelkich publicznych urzędów, uchylonym został, jako dający się roztrzygnąć na drodze zwykłej procedury prawodawczej).

A więc cała rewizya schodzi prawie do usunięcia krzyczących wprawdzie, ale drugorzędnych niekonsekwencyj. Ferry, jak gdyby prócz chęci pozbycia się kłopotów z wnioskami, chciał jeszcze pokazać narodowi: patrzcie, nawet przy tak umiarkowanych zamiarach nie udało nam się nic poważniejszego zrobić, a cóżby dopiero było, gdybyśmy chcieli posunąć rewizyę aż do gruntu.

Uchwały kongresu zapadają nie prostą większością obecnych, lecz wymagają połowy więcej jeden głosów wszystkich deputowanych i senatorów, każda więc ustawa potrzebuje dla przejścia co najmniej 429 kresek (75 senatorów dożywotnich + 225 czasowych + 556 deputowanych = 856). Wniosek Barodeta o zwołanie konstytuanty, odsunięty został 493 głosami przeciw 286, sądzić więc z tego można, że rząd ma zapewnioną, stanowczą większość, że rewizya wprowadzi w życie żądanie komisyi. Pomimo to ludzie, blisko sprawy stojący, wyrażają obawy, iż odstępstwo wśród wiecznie niezdecydowanej Izby, choć nieprawdopodobne, jest jednak możebne.

Podczas pierwszych (szczególniej) posiedzeń kongresu połączone krańce, prawy i lewy, wyprawiły taki koncert czysto ulicznikowskich hałasów i brutalnych wystąpień przeciw środkowi, jak gdyby sądziły, że ktokolwiek wątpi o ich zdolnościach w tym kierunku. Przewodzący Le Royer zmuszonym był dwa razy kłaść na głowę kapelusz i przerywać sesyę. Doprawdy, niepodobna zrozumieć o co tym panom chodzi, chyba sprawia im przyjemność rozkielznanie dzikich namiętności. Kilku członków

---

za czasów studenckich brata Zenia. Wprawdzie, po każdem mojem zbliżeniu się, mama umilkała natychmiast; smutek jednak był rozlany na jej twarzy i mnie się wówczas zdawało, że tajemnicza ta osobistość napełniała dom nasz cały. Trwało to aż do wyjazdu Zenia za granicę. Béranger leżał wtedy zwykle na stole ojca, pośród innych, ładnie oprawnych książeczek. Nęciły mnie nieraz jego pąsowe okładki; ale, pilnując sumiennie surowego zakazu, nie zaglądałam nigdy do jego wnętrza. Raz jednak, siedząc w pokoju jadalnym, widziałam, jak Zenio wziął go z gabinetu ojca, a w chwilę potem słyszałam pełne zapału śpiewy i deklamacye o Lizecie — brata i jego kolegów. Znowu więc szwaczka była tam na scenie.

— Przyznaj, że typ to bardzo poetyczny.

— Nie przeczę, jeszcze ładniejszy może na obrazkach Greuze'a, ale...

— Wcale też nie źle wyglądają te osóbki w *Journal amusant* lub *Petit journal pour rire*.

— Na to się już nie zgodzę; nie uderzają mię wcale owe błękitno-różowe panie z pierwszych stronnic dzienniczków paryskich; wszystkie te *carabines* i *étudiantes*. Za to braciszek pewno podzieliłby twe zdanie, zwłaszcza w owe czasy, gdy sam zazdrościł studentom paryskim, badał operetki i śpiewał z entuzyazmem: *je suis le fils de Marasquin, de Marasquin et compagnie*. Co za różnica jednak była pomiędzy nami! Kiedyś, w całej prostocie ducha, zanuciłam ten frazes, i jakże surowo zostałam zgromioną przez tego samego Zenia!

— Bardzo słusznie, bardzo słusznie, moja pani!

— Naturalnie, ale pocóż on śpiewał? Wogóle byłam wówczas bardzo jeszcze naiwną. Z czasem jednak, zwykłą rzeczy koleją, coraz to więcej wiadomości różnych dochodziło do mnie: słuchałam, czytałam, zresztą patrzyłam potrosze sama; teraz nakoniec, jako mężatka dwudziesto-kilkoletnia, znam przecież dobrze rozmaite grupy społeczeństwa naszego, naszych panów i paniczów, mam pojęcie o ich satelitach, a więc także o modniarkach i szwaczkach. Nic dziwnego więc, że się niemi brzydzę, że nietylko w naiwność tych istot, ale i w jaką taką moralność bynajmniej nie wierzę i jestem pewną, że i ta dzisiejsza wdzięczna buzia albo dziś już jest tylko zręczną obłudnicą, albo też z czasem będzie tyle warta, co wszystkie prawie jej towarzyszki.

— Buzi tej wdzięcznej nie widziałem; pomimo to ośmielę się zauważyć — rzekł pan Zygmunt, biorąc za kapelusz — że wy, piękne panie, wskutek może swej *quasi* wszechwiedzy, zbyt skłonne jesteście do skorych wniosków; nie wiem tylko, jak się zachowują wasze dobre serca wtedy, gdy owe wnioski spadają na ludzi, jak ciężkie kamienie. Ale, ale, muszę się spieszyć; a może też Heleniu zechcesz mnie dziś odprowadzić?

Wkrótce potem państwo Zygmuntostwo zagłębiali się w mało uczęszczaną stronę parku miejskiego. Gospodarze miasta niezbyt się troszczyli o części jego podrzędne; to też piętrzyły się w nich takie gęste masy zieleni, że nawet szerokie smugi światła jak gdyby z wysiłkiem musiały je rozdzierać.

Im dalej szli młodzi państwo, tem większą czuli rzeźwość i lekkość. Wesoły uśmiech nie schodził prawie z ich ust rozchylonych, świeży wiatr muskał ich twarze, wzbijał kłębami srebrzysty welon pani, rozwijał ciemne pierścienie jej włosów. Nie broniła się wcale młoda para przed promieniami słońca; to też próbowały już one swo-

krańcowej lewicy stawiało niemożebne do przyjęcia wnioski i, po odrzuceniu ich, wydaliło się z sali posiedzeń. Niejaki Gambon posunął się do tego, że aż zwołał wszelkie fusy radykalizmu paryskiego do sali Levis i tam wzywał do buntu, przyczem zbito jakiegoś protestującego robotnika. Prócz inicyatora na zebraniu w Paryżu było jeszcze dwóch deputowanych Laisant i Maret (jeden z następców Gambetty w Bellvillu).

Bezprzykładny chaos, panujący na zebraniach kongresu, może wydać się komuś złowróżbnym dla samej Rzeczypospolitej. Ale żeby wyprawiać skandale i przeszkadzać krzykami innym w pracy, na to niepotrzeba przecie siły żadnej. A stronnictwo Ferry'ego stoi tymczasem dotąd spokojne, karne, zdecydowane, jak nigdy. Gdyby więc nawet nie niezdołało przeprowadzić żadnej reformy, to w każdym razie na bezdroża Barodetowskich projektów wciągnąć się nie da.

K. T.

ZAWODNE POŻĄDANIA.

Nasamprzód małe zboczenie od właściwego przedmiotu.

Miasto Bielsk na Szląsku austryackim obchodziło z końcem zeszłego miesiąca, a z niem i sąsiednia Biała galicyjska, uroczystość 50-ej rocznicy założenia niemieckiego towarzystwa śpiewaków. Z cesarstwa niemieckiego zjechało kilkanaście stowarzyszeń śpiewackich i cały obchód wypadł w duchu pangermańskim. Dodajmy do tego, że burmistrz Białej, Nachowski (widocznie *ein Urgermane!*), zapewnił, iż „Biała jest i pozostanie niemiecką i bronić się będzie przeciwko najazdowi wszelkich *obcych*(!) żywiołów"—to już chyba nie pozostaje nam nic lepszego do zrobienia, jak zaśpiewać społem: *O, Vaterland, magst ruhig sein! Fest steht und treu die Wacht... an der Weichsel!..*

Niemal równocześnie zatrąbiono w kilku pismach naszych pobudkę wojenną, znaną już wreszcie z czasów dawniejszych. Kompozytorką nowej Marsylianki jest *Gazeta narodowa*, hasła jej bojowego jakoś jednak nikt nie posłuchał wtedy. I przeciw komuż to obesłać chciano wici? Na niemce? Nie. Na... jaćwież północną? Z tą przecież wojują pisma galicyjskie nie od dzisiaj, w broni nie przebierając, aż własny zjazd literacki nawoływać musiał do szanowania konwencyi przyzwoitości i prawdomówstwa. Na kogoż wreszcie ostrzono zęby i pałasze? Nie silcie się daremnie — nie zgadniecie. Projekt wyprawy na Bukowinę zrodzić się mógł jedynie w mózgach galicyjskich mężyków stanu. Urodziny jego przeszły dość cicho i teraz dopiero — licho wie, był-li to chrzest, czy obrzezanie — zabrano się do składania życzeń. Nieprawemu dziecięciu wolności z zaborem złożyła niedawno podarek w dowód uznania *legitimi thori* także warszawska *Gazeta polska*. Byłżeby autor nadesłanego jej artykułu do tyla obłudnym, czy też nie zdał sobie sprawy z tego, co wyznaje rzeczywiście, a co publicznie głosi?...

Zaczem wznowiono okrzyk wojenny, a echo jego rozbrzmiewa po nierównościach dziennikarskich do dziś dnia jeszcze. Zejdźmy na pole walki.

Jest na Bukowinie polaków około dwudziestu tysięcy. Na przeszło pół miliona mieszkańców (rusinów 240,000, rumunów 200,000 i około 100,000 niemców, polaków, żydów, cyganów, węgrów itd.) stanowią oni zaledwie 3—4% ogółu zaludnienia. Nie są to pierwobylcy, ale przybysze, w części polskiego pochodzenia, w części ormiańskiego. Znaczną ich liczbę zamknęły w murach swoich Czerniowce—reszta, rozproszona po całym kraju, nie tworzy nigdzie większej masy ludności. Stanowią jednak polacy pokaźną część inteligencyi bukowińskiej, co głównie widocznem jest pomiędzy właścicielami większych posiadłości, gdzie liczba naszych dochodzi jednej trzeciej tego grona. Mimo wysokie posady urzędnicze, kapitał umysłowy i materyalny (głównie w ziemi), nie posiada przecież ludność polska najmniejszego wpływu na bieg spraw krajowych, co przy podniecanej z zewnątrz ambicyi jest bezwątpienia nieco przykrem. Ba, nawet równouprawnienie narodowości, zagwarantowane konstytucyą i — mniej lub więcej szczerze — przez hr. Taaffego popierane, jest dla polaków bukowińskich, jak dotychczas, przedmiotem marzeń tylko — ideałem, o którego urzeczywistnienie kusić się zaczęli natarczywiej od pewnego dopieczasu. W otrzymaniu równych z innymi praw przeszkadzali im dawniej niemcy, gdy zaś przewaga *vondraussenów* została w ostatnich latach stanowczo złamaną — rumuni, którzy tymczasem rozpanoszyli się w całym kraju na dobre, im bowiem jedynie wyszło na korzyść okrojenie władzy niemców.

Trzeba było coś radzić i działać. Należy przyznać, że weszła Polonia bukowińska na znacznie rozumniejszą drogę i praktyczniejszą, aniżeli jej siostrzyca galicyjska, bezwzględnem postępowaniem swojem żywo przypominająca rumunów z Bukowiny. Przy ostatnich wyborach do sejmu czerniowieckiego zawarto więc ugodę z rusinami i zgodzono się na wspólnych kandydatów z grupy mniejszych posiadłości. Wypadły wprawdzie wybory na niekorzyść sojuszu słowiańskiego, ale winą tego nie była zła wola związkowych, nienaturalność spółki albo zasadnicza jego niemoc, ale spóźniona i nieprzygotowana należycie akcya wyborcza.

Podobny kompromis (tutaj znów przeciwko centralistom) starano się zawrzeć w kuryi większych posiadłości, ale brak energii u naszej szlachty i (w sam raz podniesiony!) projekt przyłączenia Bukowiny do Galicyi uniemożliwiły zdobycie przypuszczalnych korzyści porozumienia się z Wołoszą. Wcale-bo nie na rękę byłaby rumunom utrata odrębności, za którą poszłoby wyrugowanie ich z wielu wpływowych stanowisk. Nieszczęśliwego projektu użyto za dzwon alarmowy i przerwano nawiązane już rokowania z polakami, czego skutek był taki, że i w tej kuryi nie uzyskali nasi ani jednego przedstawiciela, podczas gdy rumuni, stanowiący trzecią część ludności kraju, mają większość dwóch trzecich w sejmie.

Opisałem ostatnie wybory na Bukowinie, aby w praktyczny sposób wykazać niefortunność projektu aneksyi. Myśl tę rzucono przedewszystkiem w czas niewłaściwy, co też rumuni umieli wyzyskać należycie. Przypatrzmyż się teraz nowej idei, nie mając już względu na jej chwilową niepraktyczność, ale oceniając ją ze stanowiska możliwych korzyści i strat — po dokonanem połączeniu.

O co właściwie chodzi?

Nabytek terytoryalny sam przez się pożytecznym byłby o tyle, o ile dochody przyłączonej prowincyi, przenosząc jej potrzeby, mogłyby być użyte na cele całego kraju. Pod tym względem niema się co łudzić nawet, bo przy poborze podatków przez rząd i szafowaniu nimi, nie od sejmu zawisłem, trudno byłoby z t. zw. dodatków na potrzeby krajowe wycisnąć jakąś korzyść dla siebie. A więc chodzi może o rozszerzenie wpływu politycznego, wciągnięcie sąsiedniej prowincyi w koło interesów polsko-galicyjskich i położenie jej na szali obecnie drobniejszych, ale kiedyś później donioślejszych może wypadków politycznych? Niezła myśl, zastanówmy się tylko wpierw, kogo zapraszamy do wspólnego z nami stołu? Naprzód dawnych panów kraju — niemców. Postradali oni wiele, spodziewają się jednak odzyskać jeszcze utracone wpływy i stanowiska, mają zaś w każdym razie tyle, ile Galicya z języ-

---

jej siły na oczach i twarzy, pomimo to jednak parasolka spuszczona kołysała się zwolna na ręce. Wczesna wiosna szła z nimi pełna siły młodzieńczej, wzrastającej jeszcze z dniem każdym, strojąca się w coraz nowe czary, pędząc w dal, aż ku tej rozmarzonej nocy świętojańskiej — nocy wielkiego kochania i przesilenia tajemnego. Otóż młoda ta czarodziejka wlewała i w duszę pani Heleny swoje ożywcze tchnienia, odrywała ją od ziemi, pieściła, ogarniała ze wszystkich stron. Chwilami zdawało się młodej kobiecie wyraźnie, że jakiś ptak rozpościera swe skrzydła w jej piersi i ot, ot zrywa się do lotu. Oddechu jej czasem brakło. W gęstwinie zielonej brzmiała tymczasem cudna pieśń tryumfalna, czepiająca się każdej gałązki, każdego listka, wisząca w powietrzu. Drobne gardziołka podnosiły się w górę, skrzydełka bronzowe, popielate i żółte trzepotały radośnie na tle szmaragdowem; bzy, akacye i czeremchy zwarły się w ciasne koła, pysząc się swemi barwami na tle czarnych jeszcze dębów. Żywy rumieniec oblewał twarz pani Heleny, błękitne żyłki drgały na jej skroniach, rozdęte nozdrza wciągały wilgotne powietrze, usta w pół odemknięte chwytały je chciwie, pomimo to jednak, jakieś wielkie pragnienie nasycić się nie chciało... Bogata rozmaitość tonów i kolorów olśniła ją, zmęczyła prawie; zamknęła więc oczy, wspierając się mocniej na ramieniu męża. I oto zaczęły się unosić przed nią widziane niegdyś gaje mirtowe, a na ich tle marmury białe, wielkie błękity morskie, boskie, słoneczne południe, a na tle jego dwoje kochających się ludzi — ona ze swoim najdroższym. Pan Zygmunt też słuchał i patrzył do koła, ale jeszcze więcej chyba w twarzyczkę swej żony, dziwnie rozmarzoną i niby zasłuchaną w uroczo jakieś dźwięki. Bo też słuchała ona w tej chwili pieśni swojej duszy, całego swego życia, pieśni drgającej miłością, poczętą z wspomnieniami i nowem pragnieniem... Nagle podniosły się powieki pani Heleny i zajrzała ona w pochyloną ku niej twarz męża przyćmionem a dziwnie słodkiem spojrzeniem; jednocześnie też jej główka coraz to niżej się chyliła ku jego ramieniu.

— Zygmuncie, szczęśliwa jestem—szeptały jej gorąco usta—w przeszłości też czuję same uśmiechy, a jutra nie boję się z tobą...

W oddaleniu widać już było drugą bramę ogrodu. Niechętnie zbliżała się ku niej nasza młoda para, ulica gwarna swem życiem powszednim straszyła ich prawie po chwilach spędzonych w zaczarowanem królestwie majowem.

— Musisz już spieszyć, jedyny? — pytała Helena.

— O muszę, wszak bardzo już późno, a dziś jak na złość mnóstwo mam zajęcia; ale cóż ty robisz z sobą? Czy zaraz wracasz do domu?

— Doprawdy nie wiem, jakoś mi się nie chce, ale czekać tu samej byłoby za długo, odwiedzać znajomych, także nie mam chęci.

— Z wyjątkiem może dawnych faworytów, w książęcej galeryi obrazów — Ruisdaëlów, Breughelów i Potterów — byłby to przecież tylko dalszy ciąg wrażeń dzisiejszych.

— O, Ruisdaël przykryłby je wszystkie swoim cieniem smutnym. Przyznam ci się, że w tej chwili nie czuję pociągu do najpiękniejszych nawet malowanych rzeczy, ale pomimo to — idę do galeryi!

(D. n.).

---

kiem swoim urzędowym polskim daćby im nie mogła stanowczo. Ręka w rękę idą z nimi żydzi. Przychodzący do władzy rumuni ani słyszeć nie chcą o utracie samodzielności prowincyonalnej. Pozostają w końcu rusini, ale i ci nie objawili dotychczas ani razu chęci dzielenia losu rodaków swoich w Galicyi...

A więc na pół miliona narodu zyskalibyśmy zaledwie dwadzieścia tysięcy sprzymierzeńców. Otworzyłoby się nowe pole walki, nowa arena dla „borb" narodowych, od których jęczy już i w niebogłosy się skarży ziemia halicka. Bojowisko to o tyle widok sprawiłoby przykrzejszy, o ile zakres jego terytoryalny byłby większy i liczniejszą rzesza walczących. A zaś korzyść stąd jaka? Materyalna — żadna, w zakresie moralnym—zatrata dążeń szlachetniejszych w sobie a dobrej opinii u drugich. Podarłby się wtedy do reszty w szmaty sztandar nasz dawny, tego już nadszarpany przez polaków galicyjskich. Czyż nie byłoby zatem lepiej ograniczyć się za Czeremoszem do żądania tylko praw przynależnych językowi polskiemu, czego przecież słusznie a bez zrażania sobie sąsiadów domagać się możemy? Byłoby to godziwsze a i rozsądniejsze, niż puszczanie się na niepewne wody awanturniczej polityki. Toć w samej Galicyi jest i bez Bukowiny za wiele kłopotu, a na Szlązku, ba! w Białej nawet, śpiewają sobie niemcy bez skrupułu:

— *Mein Vaterland, sollst grösser sein!...*

Tam zwróćmy raczej oko, tam, na tę odwieczną dzielnicę polską, dławioną przez niemców, a przez nas karygodnie opuszczoną. Wszak ćwierć miliona autochtonów— to nie dwadzieścia tysięcy kolonistów!...

R.

Sprzeczne prądy.

Czy wzrost ludności jest klęską dla kraju, czy błogosławieństwem? Jeśli klęską, jak zażegnać grożące z tej strony niebezpieczeństwo? Jeśli błogosławieństwem, pod jaką postacią i pod jakimi warunkami występuje ono na jaw?

Takie mniej więcej pytania zadawali sobie mężowie stanu i socyologowie od czasów najdawniejszych. A odpowiedzi ich już ku jednej, już ku drugiej przechylały się stronie.

Grecy oczywiście obawiali się niepomiernego powiększenia liczby obywateli, skoro Platon i Arystoteles zalecają rozmaite środki przeciwko zbyt wczesnym małżeństwom i niestosunkowemu rozradzaniu się. Pierwszy z nich w *Rzeczpospolitej* określa wiek, od którego ma być dozwolonem zawierać związki małżeńskie, dla kobiet lat 20, dla mężczyzn—30. Nadto po roku 40 kobietom, po 55 — mężczyznom bezwarunkowo nie wolno wychodzić za mąż i żenić się. Dzieci niezdrowych rodziców, jak i urodzone ze związków zawartych wbrew przepisom co do wieku — powinny być zabijane. Jeszcze surowsze w tej mierze postępowanie radzi Arystoteles. Prawo rzymskie przeciwnie sprzyjało małżeństwu i rozwojowi życia rodzinnego. Cesarze, z Augustem na czele, coraz nowe przeciwko bezżeństwu wydawali prawa. Małżonków i ojców licznych rodzin obsypywano przywilejami i zaszczytami. Pod względem ubiegania się o urzędy honorowe posiadali oni pierwszeństwo. Konsul, który miał najwięcej dzieci, najprędzej zwykle dostępował prawa „fasces" (godła władzy życia i śmierci, niesione przez liktorów) i wyboru pomiędzy prowincyami. Senator, najobficiej potomstwem ubłogosławiony, na liście figurował pierwszy i w czasie narad państwowych naprzód o głos był pytany. Kto miał troje dzieci wolnym był od wszelkich podatków.

Jak na kwestyę ludności zapatrywały się wieki średnie, owe wieki bezustannych wojen międzynarodowych, zatargów wewnętrznych i zaraz powszechnych, pochłaniających nieraz setki tysięcy ludzi — danych nie posiadamy. Dopiero wraz z odrodzeniem się nauk, podniesieniem przemysłu w miastach i rozszerzeniem stosunków handlowych zaczyna się budzić pojęcie o sile twórczej, jaką posiada praca, w następstwie zaś pojęcia tego zarówno rządy, jak i teoretycy państwowi dobro krajów upatrują w coraz wzrastającej liczbie ludności. Świadczą o tem między innemi usiłowania prawodawcze Fryderyka Wielkiego i Józefa II, z jednej strony sprzyjające tworzeniu się rodzin, a z drugiej sztucznie do kraju przyciągające kolonistów zagranicznych.

Po wielkiej rewolucyi francuskiej najwymowniejszym rzecznikiem tych poglądów na polu naukowem był anglik Godwin. W dziele swym *O politycznej sprawiedliwości* utrzymuje, że wszelkie zło, w społeczeństwie panujące, ludzkim wyłącznie instytucyom przypisywać należy; że istniejące prawo własności i wogóle urządzenia polityczne są najbogatszem źródłem wszelkich niebezpieczeństw, rozsadnikiem wszystkich przestępstw, bezczeszczących ród ludzki. Obawę przeludnienia i jakoby mającej iść w ślad za niem nędzy piętnuje wprost mianem niedorzeczności. Trzy czwarte globu ziemskiego — powiada—przez uprawę jeszcze nietknięte, a w części uprawne do ogromnych jeszcze ulepszeń są zdolne. Przez tysiące stuleci jeszcze ludzkość może się pomnażać, a ziemia wciąż dla mieszkańców swoich dosyć będzie miała żywności. Przeciwko twierdzeniom tym z całą stanowczością wystąpił pastor angielski Robert Malthus w głośnej książce *Zarys prawa ludności* (1798). Według jego dowodzenia ludność wzrasta ciągle w postępie geometrycznym (1, 2, 4, 8 itd.), podczas gdy środki utrzymania, mimo wszelkich wysiłków produkcyi, pomnażają się jedynie w postępie arytmetycznym (1, 2, 3, 4 itd.). A jakkolwiek nie mało jest przyczyn naturalnych — tak zwanych przez Maltusa *przeszkód pozytywnych* — które stosunek ten znakomicie łagodzą, jak wojny, nieurodzaje, choroby zaraźliwe itp., to jednak, gdy obok wszystkiego niewątpliwie przyjąć można, że ludność kraju danego podwaja się co lat dwadzieścia pięć—po upływie stu już może nadejść chwila, że trzy czwarte pozbawione będą chleba. To też państwo powinno rozmaitymi zakazami kłaść tamę lekkomyślnemu zawieraniu małżeństw i rozmnażaniu się ludności, jednych z obywateli zachęcać do wstrzemięźliwości, innych zobowiązywać, ażeby nie mieli dzieci więcej, jak tyle, ile utrzymać są w stanie—słowem myśleć o tem, aby odepchnięci byli od stołu życia ci, „dla których nie ma tam zastawy." Teorya Malthusa wielkie w swoim czasie miała powodzenie, podobała się szczególniej klasom posiadającym, które, dzięki jej wywodom, naraz uwolnione zostały od wszelkiej odpowiedzialności za dolę ubogich i uciśnionych. I pomiędzy ekonomistami nie brakło jej zwolenników, tak, iż, chociaż walka na tem polu cały wiek już blisko się toczy, chociaż w odparciu teoryi Malthusa przemawiały liczne znakomitości świata lekarskiego i ekonomicznego — przecież i dziś jeszcze są sfery, w których teorya ta w nieuszczuplonej panuje sile.

Ażeby czytelnikowi dać wyobrażenie, jakiej natury są dowody każdej ze stron walczących, pozwolimy sobie tu zwrócić uwagę na dwie broszury, świeżo i jednocześnie prawie w Niemczech wydane, z których jedna teoryę przeludnienia uważa za szczyt doskonałości, podczas gdy druga wprost mieni niedorzeczną i głupią.

Autorem pierwszej, której właśnie czwarto ukazało się wydanie, jest dr. Otto Zacharias*). Wychodząc z zasady, że człowiek pod względem zdolności rozmnażania się, czyli siły reprodukcyjnej, ulega tym samym prawom biologicznym, co i reszta natury organicznej. Zacharias utrzymuje, że dokładne poznanie tych praw i wpływu, jaki one wywierają na stosunki państwowe i ekonomiczne, powinno być wstępem i podwaliną wszelkiej umiejętności socyologicznej. Wprawdzie — mówi — zanim to nastąpi, całą jeszcze górę przesądów zburzyć wypadnie, ale wątpić nie można, że do tego kiedyś przyjść musi. Wtedy dziwić się będą, że to samo pokolenie, które przebiło tunel gotardzki i położyło liny na dnie oceanu, cofnęło się przed pytaniem: czy siły reprodukcyi organicznej nie należy okiełznać tak samo, jak wszystkie inne ślepe moce przyrody, zamiast jak dotychczas sile owej pozostawiać bieg niczem nie krępowany. Najwięcej do ideału tego zbliżyła się Francya, niezmiernie zaś daleko od niego stoją Niemcy.

Podczas gdy we Francyi na każdy milion ludności przypada urodzeń rocznie 26,000, Niemcy w takim samym okresie i na taką cyfrę wykazują urodzeń 41,000; podczas gdy we Francyi obowiązek utrzymania jednego dziecka przypada przeciętnie na trzech dorosłych, w Niemczech taki sam ciężar spada na dwóch. Tym sposobem w stosunku do dochodów swoich i wydajności ziemi pomnażając się, dzięki głównie rozumnemu instynktowi mas, naród francuski doszedł do tego, że oszczędności jego corocznie wynoszą około 4 miliardów franków i że dobrobyt jego wciąż wzrasta. A Niemcy? W Niemczech natomiast — mówi Zacharias—wśród warstw niższych najstraszniejszy szerzy się pauperyzm, żebractwo i włóczęgostwo kwitną, jak nigdy, a drogi publiczne roją się ludźmi szukającymi pracy i chleba. I nic dziwnego. Gdy bowiem wedle dokładnych obliczeń statystycznych liczba nowonarodzonych przewyższa liczbę zmarłych co rok o 550.000 i ludność niemiecka, jeśli w takim samym, co dziś, stosunku pomnażać się będzie — w lat osiemdziesiąt dojść może do 170 milionów. Ta sama ziemia, która w r. 1816 żywiła 24 milionów, obecnie zaś z biedą starczy dla 45 milionów, dla stukilkudziesięciomilionowej przewyżki starczyć nie może. W innych krajach europejskich widok pod tym względem wcale także niepocieszający. A w ślad za brakiem środków do życia, owym bezpośrednim skutkiem nadmiernego wzrostu ludności, ciągnie się mnóstwo najzgubniejszych skutków pośrednich, jak: niezwykła śmiertelność dzieci, bezpożytecznie pozbawiająca kraj znacznych kapitałów na ciąże, porody, wychowanie pierwotne itp., degeneracya i wycieńczenie starszego pokolenia, objawiające się u kobiet w następstwie corocznych niemal brzmienności, u mężczyzn zaś, jako nieunikniony wynik bezustannej walki o byt, ciągłej troski o podtrzymanie istnienia, wytężenia wszystkich sił, żeby zapracować dla siebie i swoich — na chleb. Lekarstwem uniwersalnem na te wszystkie dolegliwości — zdaniem autora — są zakazy prawne przeciwko lekkomyślnemu zawieraniu małżeństw z jednej, i, o wiele ważniejsze jeszcze, środki w tym kierunku przez samych małżonków stosowane — z drugiej strony. Wywody swoje popiera cytatami z dzieła dra Hassego (medyka) „O bezpłodności dowolnej" (*Facultative Sterilität*) — oraz z prac socyologicznych Roberta Mohla i Schäfflego.

Autor drugiej z broszur, na początku wzmiankowanych*), Stöpel, cyframi nadzwyczaj pouczającemi dowodzi, że wraz z postępem ludzkości i jej rozmnażaniem, produkcyjność ziemi, jeżeli nie w wyższym stopniu, to w każdym razie równomiernie wzrastała i że jednocze-

*) *Die Bevölkerungsfrage* itd. Jena, 1883.

*) *Sociale Reform. II. Die Bevölkerungsfrage.* Lipsk, 1884.

śnie ze zwiększającą się podażą pracy, wzrasta i popyt na nią. Projekty ograniczeń pod względem zawieranie związków małżeńskich nazywa płytkimi i bezwstydnymi. Wielkie jeszcze pytanie — powiada — czy wolność pozostania w bezżeństwie, nie zrządza więcej szkód społeczeństwu, aniżeli swoboda małżeństw. Największą jest niedorzecznością stawiać przeszkody w zawieraniu małżeństw biedakom, żyjącym jedynie z pracy rąk swoich: w ich położeniu bowiem przymusowe odosobnienie staje się matką wszelkiego złego. Robotnik żonaty w ogólności jest pracowitszym, gospodarniejszym i więcej daje rękojmi moralności, aniżeli nieżonaty. W kwestyi wzrostu ludności państwo ma jedno zadanie tylko: usuwać wszelkie zawady, tamujące produkcyę i współdziałać w kształceniu samowiedzy narodu i prawidłowego rozwoju wszystkich drzemiących w nim zdolności umysłowych i moralnych.

Oto jest zarys dwóch kierunków w tak zwanej teoryi ludności. Który z nich jest prawdziwym? Wedle nas i tu, jak wszędzie, prawda znajduje się w pośrodku. Niezwykły wzrost liczby mieszkańców danego kraju, wtedy tylko byłby groźnym, gdyby można było przypuścić, że w ciągu dziesiątków lat i stuleci, przez które ludność się pomnaża, rolnictwo, przemysł i stosunki handlowe stoją w jednem miejscu. A że tak nie jest, że owszem na wszystkich tych polach ciągły panuje postęp — więc i przeludnienia obawiać się dotąd nie mamy potrzeby. U nas stanowczo — nie.

A. J. Cohn.

PRZESZŁOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ RELIGII *)

według

H. SPENCERA.

I.

Odrębne od zwyczajnych wierzenia religijne odnoszą się do sfery pozazmysłowej. Zwierzę myśli zaledwie o rzeczach, których może dotknąć, zobaczyć, usłyszeć, skonstatować etc.; do niego podobnem jest dziecko, głuchoniemy i człowiek zupełnie dziki. Ale rozwinięty zaczął rozmyślać o istności, którą zwykł uważać za niedotykalną, niewidzialną a jednak oddziaływającą na niego. Co mu nasunęło te myśli o czynnikach niepojętych? Jak z pojęć o naturalności rozwinęło się pojęcie nadnaturalności? Przejście nie mogło być nagłem.

Teorya duchów zupełnie jasno przedstawia te pośrednie stopnie. Wykazuje, jak umysłowe różniczkowanie istot niewidzialnych i niedotykalnych z widzialnych i dotykalnych objawia się powoli i niepostrzeżenie. Mniemanie, że w czasie snu sobowtóry ludzi rzeczywiście robią i widzą rzeczy wyśnione, lub że sobowtór, oddalający się w chwili śmierci, by zaraz powrócić, jest odbiciem materyalnem człowieka — świadczy, że czynnik nadprzyrodzony w swej pierwotnej postaci różnił się bardzo mało od naturalnego. Był po prostu człowiekiem zwyczajnym, przewyższającym go tylko władzą robienia źle lub dobrze oraz władzą stawania się niewidzialnym. To zaś, że gdy umarły przestawał śnić się swym znajomym, a jego nieukazywanie się we śnie było uważanem za śmierć ostateczną — dowodzi, iż tym pierwotnym nadprzyrodzonym czynnikom przypisywano tylko istnienie czasowe. Pierwsze więc usiłowania wiary w trwałość nadprzyrodzonego istnienia spełzły na niczem.

Wyższy stopień różniczkowania i w wielu innych razach nie został osiągnięty. Świat duchów stawał się liczniejszym z każdą śmiercią, lecz z drugiej strony tracił swych członków, gdy tylko zapomniano o umarłym, a on nawet we śnie nie przypomniał się żyjącym. Unkulunkulo najstarszego z najstarszych zulusów, ojca rasy, uważają za ostatecznie i w zupełności umarłego a ofiary błagalne są składane tylko bogom najświeższej daty. Tam zaś, gdzie okoliczności sp zyjały składaniu ofiar na grobach, świadczących przed każdem nowem pokoleniem o właściwościach umarłego i przekazujących tradycyę, tam bezwątpienia powstało pojęcie o trwałem istnieniu widm i duchów, oraz wybitniejsza różnica między istotami nadprzyrodzonemi a naturalnemi ustaliła się w umyśle ludzkim. Jednocześnie zwiększa się bardzo liczba tych mniemanych nadprzyrodzonych istot, gdyż teraz nieustannie nowe przybywają a przytem coraz usilniej objawia się dążenie do uważania ich jako wszędzie obecnych i sprowadzających wszelkie niezwykłe wypadki.

Różnice w przypisywanych duchom władzach powstają wcześnie, co jest prostem następstwem różnic w uzdolnieniach śród ludzi żyjących. Stąd wynikły ofiary pospolitym duchom składane tylko przez ich następców lub inne duchom ludzi najokrutniejszych, choć nie należeli do rodziny, co nakazywała przezorność. Bardzo więc wcześnie powstały stopnie istot nadprzyrodzonych, które z czasem stają się tak widocznie odrębnymi.

Ciągłe wojny przyczyniały się najwięcej do wytwarzania tych pierwszych różniczkowań—sprowadzały dalsze i coraz wybitniejsze. Wskutek nich z mniejszych społeczeństw tworzyły się większe, a z tych jeszcze potężniejsze. Z tem zaś pomnożeniem szczebli władzy śród żyjących ludzi powstało pojęcie o rozlicznych stopniach władzy i u ich duchów. Tak z biegiem czasu utworzyły się pojęcia o wielkich duchach, czyli bogach, o większej liczbie drugorzędnych duchów, czyli półbogów i coraz niżej — aż w końcu powstał panteon. Tu jednak nie zaczyna się jeszcze istotne rozróżnienie własności duchów—jak to widzimy w nazwaniu pospolitych duchów przez rzymian *manes*, a przez hebrajczyków *elohim*. Nadto z odtwarzania w innym świecie, w innem życiu życia z tego świata powstaje śród nadprzyrodzonych istot różniczkowanie stopni nietylko ich władzy, ale także ich charakteru i rodzaju zajęć. Występują bogowie miejscowi, bogowie rządzący tym lub innym szeregiem zjawisk, duchy złe i dobre rozmaitych odcieni, a gdzie przez podbój społeczności pomieszały się ze sobą, każda z nich miała własny systemat wiary w pochodzenie bogów, wynikło zawiłe połączenie podobnych wierzeń, tworząc mitologię.

Ponieważ pierwotne duchy były sobotworami ludzi, zupełnie do nich podobnymi, a bogowie (gdy nie byli żyjącymi członkami zdobywczej rasy) sobotworami najpotężniejszych ludzi — więc początkowo ich fizyczny charakter, namiętności i umysłowe władze były również ludzkie, jak i innych duchów. Mniemano, że jak sobotwory zwykłych umarłych, zjadają dawane im mięso, krew, chleb, wino, najprzód w ścisłem słowa znaczeniu a potem w bardziej duchowy sposób, spożywając tylko esencyę pokarmów. Nietylko ukazują się jak widzialne i dotykalne osoby, ale walczą z ludźmi, cierpią, a jedyna różnica, że posiadają cudowną moc leczenia i wskutek tego są nieśmiertelni. Tu potrzebnem jest wyjaśnienie, bo nietylko rozmaite ludy sądzą, że bogowie umierają pierwszą śmiercią (co, rzecz naturalna, zdarzało się tam, gdzie członków zwycięskiej rasy zwano bogami dla ich wyższości), ale jak w wypadku z Panem, nawet cywilizowane przypuszczają, że bóg poraz drugi i ostatecznie umiera—podobnie jak dziś jeszcze dzicy wierzą w drugi i ostateczny zgon człowieka. Z postępem cywilizacyi istota nadprzyrodzona od naturalnej coraz bardziej się oddala. Nic nie powstrzymuje stopniowego uduchowienia duchów i bogów i to uduchowienie nieznacznie postępuje dalej w usiłowaniu osiągnięcia stałych pojęć o czynności nadprzyrodzonej. Bóg przestaje być dotykalnym a następnie widzialnym i słyszalnym. Wraz z tem wyróżnieniem od ludzi pod względem przymiotów fizycznych, zaczyna się choć o wiele wolniej wyróżnienie i przymiotów umysłowych. Bóg dzikich, mało inteligentniejszy od żyjących ludzi — oszukiwanym jest z łatwością. Nawet bogowie ludów półcywilizowanych są oszukiwani, popełniają błędy, żałują swych zamiarów i tylko z postępem czasu wytwarza się pojęcie o nieograniczonej wszechwiedzy. Uczucia jednocześnie ulegają równoległym przeobrażeniom. Niskie namiętności z początku gwałtowne, którym troskliwie dopomagają nabożni, stopniowo nikną. Pozostają tylko namiętności mniej związane z zadowoleniem ciel snem, a i te także przestają być częściowo podobnemi do ludzkich.

Opisane tu przymioty bóstw nieustannie przystosowywały się do stopnia rozwoju społecznego. Podczas epoki wojennej, głównego boga pojmują jako uśmierzającego bunty, uważane za największą zbrodnię, jako nieubłaganego w gniewie i niemiłosiernego w karach, a przytaczane przymioty łagodniejszej natury znajdują tylko słabe odbicie w społecznych przekonaniach. Ale z upadkiem wojowniczości, gdy srogość zastosowanych do niej despotycznych form rządu łagodniała pod wpływem form właściwych okresowi przemysłowemu, a powierzchnie wierzeń religijnych zaczęły się szybko zmieniać, bogom przypisowano przymioty zgodne z etyką pokojową—boska miłość, boskie przebaczenie, boskie miłosierdzie są teraz głównemi ich cechami.

Chcąc pojąć jasno wyniki umysłowego postępu i zmian w życiu społecznem—opisawszy je w sferze abstrakcyjnej—musimy im się przyjrzeć w rzeczywistości. Jeśli bez uprzedzeń zbadamy tradycye, zabytki i pomniki egipcyan, przekonamy się, że z ich pierwotnych pojęć o bogach zwierzęcych lub ludzkich rozwijało się uduchowienie pojęcia o bogach, a w końcu o jednym bogu—dopóki kapłani późniejszych czasów nie odrzucili poprzedzających pojęć, uważając je jako skażone. Kierowało nimi powszechne nieznane dążenie, by stan pierwotny uważać za najwyższy, a ślady tego dążenia odnaleść możemy i w dzisiejszych teoryach teologów i mitologów. Jeśli znowu odłożywszy na bok dociekania i nie pytając się o wartość historyczną *Iliady*, przyjmiemy ją po prostu jako wskazówkę dawnych wyobrażeń greckich o Zeusie i porównamy je z wyobrażeniem zawartem w dyalogach Platona, zobaczymy, że cywilizacya grecka znacznie zmieniła (przynajmniej w lepszych umysłach) czysto antropomorficzne pojęcie o bóstwie. Zapomniano o niższych ludzkich przymiotach, a przetworzono wyższe. Podobnie jeśli porównamy hebrajskiego boga z pierwotnych tradycyj, podobnego powierzchownością, pragnieniami i uczuciami do człowieka, z hebrajskim bogiem, opisanym przez proroków—ukaże nam się widoczne rozszerzenie władzy, wraz z naturą, o wiele przewyższającą ludzi. A przechodząc do obecnie panujących pojęć o nim znajdujemy ogromne przeobrażenie. Dzięki wygodnej niepamięci bóstwo z pierwotnych czasów—zatwardzające serca ludzkie, tak że mogą popełniać karygodne czyny, używające przewrotnych duchów by oszukiwać—staje się ogólnie uważanem za zbiór cnót przewyższających najwyższe, o jakich możemy mieć pojęcie.

Uznając więc fakt, że w pierwotnym ludzkim umyśle nie istniały ani uczucia, ani idee religijne, znajdujemy, że z postępem rozwoju społecznego i towarzyszącego mu

---

*) Zajmująca obecnie uczonych praca H. Spencera, o której na innem miejscu *Prawdy* wspomniał korespondent z Niemiec, posiada tyle twierdzeń ważnych, że podajemy ją czytelnikom naszym.

rozwoju inteligencyi powstają idee i uczucia zwane religijnemi; a wskutek przyczyn zupełnie jasnych przechodzą różne stopnie, aż między cywilizowanemi rasami dosięgają swych form obecnych.

A teraz, czy możemy wnosić, że pojęcia i uczucia religijne rozwijać się będą w przyszłości? Byłoby niedorzecznością przypuścić, że przemiany, doprowadziwszy wierzenia religijne do ich form obecnych, nagle ustaną, lub że wierzenia religijne naturalnie znikną, zostawiając niezapełnioną szczerbę. Bezwątpienia więc ulegną one zmianom, a choćby najbardziej zmienione, nie przestaną istnieć. Jakich przeistoczeń możemy oczekiwać? Jeżeli powyżej skreślony proces sprowadzimy do najniższych jego granic, otrzymamy odpowiedź.

Jak zaznaczono w *Pierwszych zasadach* (§ 95), rozwój w swym przebiegu jest zwykle zupełnie modyfikowany przez rozkład, a nawet nieraz powstrzymany. Zmiany widoczne są zróżniczkowanym wynikiem sprzecznych dążeń ku syntezie i rozkładowi. Prawdę tę musimy wziąść w rachunek, aby dobrze zrozumieć powstawanie i upadanie religijnych systematów i możliwą przyszłość dziś istniejących. Śród tych wczesnych zmian, które wytworzyły hierarchie bogów, półbogów, bogów cieniów i duchów rozmaitych rodzajów i stopni—rozwój postępuje bardzo mało ograniczany. Ze wzrastającą liczbą istot nadprzyrodzonych mitologia utrwala się, staje się różnorodniejszą i bardziej określoną w uporządkowaniu swych części i przymiotów swych członków. Rozstrój jednak nieraz zyskuje przewagę. Rozszerzające się uznanie naturalnych przyczyn ściera się z rozwojem mitologicznym, a wierzenia najmniej zgodne ze wzrastającą wiedzą niepostrzeżenie słabną. Zaczęto zapominać o dyabłach i bóstwach drugorzędnych, rządzących pewnymi działani natury, gdy przypisywano im zjawiska coraz powszechniej uznawano za towarzyszące niezmiennym prawom. Odtąd te niższe istoty mitologii powoli schodzą z widowni. Jednocześnie ze wzrostem najwyższej władzy wielkiego boga, najwyższego w hierarchii, idzie coraz częstsze przypisywanie mu czynności, które poprzednio były rozdzielane między liczne nadprzyrodzone istoty i następujeześrodkowanie władzy. Zgodnie z tem powstaje pojęcie wszechmocy i wszechobecności bóstwa, a przytoczone poprzednio jego ludzkie przymioty stopniowo znikają. Rozkład zaczyna ogarniać najwyższą istotę zarówno w przypisanej jej formie, jak i naturze.

Jak już widzieliśmy, proces ten w bardziej dojrzałych społeczeństwach, a głównie śród jednostek, najwyżej umysłowo stojących, dąży do skupienia wszystkich pomniejszych nadprzyrodzonych władz w jedną nadprzyrodzoną, a już i ta jedyna nadprzyrodzona władza przez deantropomorfizacyę, jak umiejętnie nazwał p. Fiske, traci niższe przymioty ludzkie. Jeśli rzeczy postępować będą tym samym ogólnym biegiem, jak dotąd, możemy wnosić, że to znikanie ludzkich przymiotów nie ustanie.

Na wytworzenie dalszych pozytywnych zmian składają się dwie przyczyny. Rozwój wyższych uczuć, niemogących dłużej zgodzić się na przypisywanie poziomych uczuć bóstwu, i postęp umysłowy, a z nim niezadowolenie z powierzchownych objaśnień, poprzednio przyjętych. Rozumie się, że mówiąc o skutkach tych przyczyn, muszę wspomnieć i niektóre dobrze znane, ale potrzeba rozpatrzyć je wraz z innymi.

(D. c. n.)

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Giraud-Teulon Początki rodziny. Przełożył z francuskiego T. Wr. Warszawa, 1884.

W naszej ubogiej chacie znowu jedno wyrąbano okienko; światło jego pożyczone wprawdzie, ale ożywcze; sprobujmy więc promienie rozpierzchłe w jedno zebrać ognisko.

Za przedmiot badań obrał sobie pisarz francuski pierwotne dzieje powstawania rodziny. Oddawszy na wstępie hołd metodzie doświadczalnej i spostrzegawczej, której tak wiele zawdzięcza przyrodoznawstwo, oświadcza on, że i w dziedzinie nauk społecznych nie mniejszych od niej oczekiwać można korzyści.

Opierając się dalej na pracach Bachofena, Morgana i M. Lennana, a nadto na olbrzymiej ilości zebranych przez siebie faktów, zwalcza zwycięsko starą i zmurszałą teoryę, upatrującą początek społeczeństw w jednej lub niewielu rodzinach patryarchalnych. Główną cechą stosunków płciowych dzikiego człowieka jest ich bezładność — dowolne pomieszanie polyandryi z polygamią. Stąd niepodobieństwo skonstatowania ojcowstwa, a dalej oznaczanie związków krwi po linii żeńskiej, oparte na niezbitym, widocznym fakcie macierzyństwa. (Wyspy: Fidżi, Tonga, Karolińskie, Maldywskie, Ameryka półn. i mnóstwo innych) Kobieta więc u owych ludów cieszy się stanowiskiem najwybitniejszym. „Syn ojca niewolnika i matki krwi szlachetnej— jest stanu szlachetnego“ i naodwrót. Matki, a nie ojcowie nadają tam nazwisko dzieciom. Bezpośrednim następstwem takiego stanu rzeczy są inne, niż u nas prawa spadkowe: „majątek przechodzi do linii ubocznej i wyłącznie do braci i sióstr oraz do ich potomków po linii żeńskiej.“ Rodzone dzieci wyłączone są od spadku. Zemsta rodowa (Vendetta) „stanowi obowiązek nie synów zmarłego, lecz jego siostrzeńców (synów jego siostry).“ Nawet „prawo własności gruntowej nie wychodzi z rodu matczynego,“ gdyż „syn nie jest wcale krewnym swego ojca.“ W rodzinie „wuj często sprawuje władzę patryarchy, mąż gra tylko rolę *rodzica*.“

I taka jednak „familia“ stanowi już o wielkim postępie owych gromad ludzkich, których zasadą pierwotną — bezwzględny komunizm. Wyłączne posiadanie kobiety przez jednego mężczyznę uważanem jest za ciężki grzech przeciwko prawom całej hordy. Ślady takich poglądów spostrzedz można u ludów klasycznych. Powolny rozwój stosunków tej kategoryi odbywa się drogą stopniowego ograniczenia liczbą i czasem praw wspólnoty. Przysługują one już to niektórym tylko członkom rodziny mężowskiej, już wybitniejszym jednostkom (królowie, kapłani — *jus primae noctis*), już też jednym lub drugim, ale przez pewien oznaczony przeciąg czasu. Gdzieindziej znów tylko najwyżsi dostojnicy posiadają żony na własność. Walka masy z jednostką toczy się długo, zażarcie. Religia i tradycya plemion stawią, jak zwykle, tamę nowym dopływom, otaczając dawniejsze, w danym razie komunistyczne, obyczaje aureolą świętości. Stąd szczególny kult heteryzmu, kapłaństwo rozpusty i pewna pogarda dla kobiet, uważanych dziś za uczciwe. Pojęcie czystości i wierności rozwija się równolegle z pojęciem i instytucyą *własności osobistej*. Przyczem wynagrodzenie za zdradę małżeńską stanowi „kilka uncyj złota“ (w Gwinei). Równocześnie węzły pokrewieństwa zarysowują się coraz wyraźniej, obejmując jednak coraz to mniejsze grupy jednostek. Początkowo krewnymi są wszyscy członkowie plemienia, później nazwa ta stosuje się do niewielu. Zrazu istnieje w języku kilka tylko słów, do oznaczenia związków krwi służących, potem zaś wytwarza się cała odnośna terminologia.

Pierwszych zaczątków *rodu* z ojcem na czele należy szukać w egzogamii, t. j. w porywaniu żon z obcego plemienia. Zwycięstwo czyniło mężczyznę panem kobiety i robiło z niej jego *własność*. Drugą dźwignią postępu na tej drodze było *kupowanie* niewolnic. Dzieci z nich zrodzone stanowiły bogactwo ojca, podczas gdy potomkowie kobiety wolnej należeli do jej rodziny, nie zaś do męża. Zaczątków uczuć ojcowstwa szukać potrzeba w pojęciu własności i w stosunkach posiadacza do rzeczy posiadanej. O bogactwie naczelnika rodu stanowiła, między innemi, obfitość dzieci, któremi można było prowadzić zyskowny handel.

Powoli więc obok przyrodzonych praw *macierzyństwa* zjawia się *fikcya prawna*—ojcowstwo. Umysł pierwotny, starając się zapewnić jej panowanie, oparł ją na symbolicznym wyrazie prawa przyrodzonego. Stąd owe, cudackie na pozór, obyczaje wielu ludów, jak: udane połogi męża po urodzeniu dziecka przez żonę itp. Tworzenie się rodzin i rodów pod egidą mężczyzny często pozostawało też w ścisłym związku z zamianą koczowniczego życia na osiadłe. Stosunki grup pojedynczych stawały się wtedy mniej bezpośredniemi.

Powolny postęp zmniejszał teraz cześć heteryzmu. Rozpusta mogła już stanowić przywilej lub powinność tylko kobiet niezamężnych. Na żony wkładano obowiązek niepokalanej wierności. Reakcya przeciwko dawnym obyczajom nakazywała czasem np. synowej zakrywać oczy nawet przy spotkaniu się z teściem. Niekiedy powinowactwo takie lub inne niepozwalało mieszkać pod jednym dachem. (Fidżi).

W ten sposób zjawiał się „na widowni przeddziejowej późny wynik wiekowego rozwoju i powolnego ulepszania warunków ekonomicznych — rodzina patryarchalna, opierająca się na zasadzie małżeństwa — związku jednego mężczyzny z jedną lub wielu kobietami, jako postęp umysłu odnośnie do dawnych barbarzyńskich urządzeń... Rodzina taka rozwija się powoli w ciągu wieków, by się zbliżyć do typów obecnych; ona się ciągle „przemienia,“ nie jest „daną *a priori*,“ „wytwarza się.“

Tak więc listek po listku opadają laury starych teoryj tradycyjnych. Nauki przyrodnicze nie pozwalają nam myśleć, żeśmy odrazu z łona ziemi wyszli w całej krasie dzisiejszych kształtów cielesnych. Psychologia każe nam szukać początku nowych idej w skurczach i ruchach protoplazmy pierwotnych komórek. Socyologia, odkrywając drabinę, po której Jowisze z nizin ludzkich weszli na wierzchołek Olimpu, teraz każe nam jeszcze początku ubóstwianych przez dzisiejszą cywilizacyę urządzeń szukać w zwierzęcych orgiach dzikiej gromady ludzkiej. Co gorsza, uznać jesteśmy zmuszeni, że dzisiejsza postać rodziny nie jest formą ostatnią, gdyż nie widzę przyczyn, aby to, co się przekształcało od wieków, nie miało i nadal przeobrażeniom ulegać.

Dziełko p. Giraud-Teulona gorąco polecam czytelnikom *Prawdy* i czytelniczkom, tłumiąc nawet obawę, że te ostatnie zechcą ze swoich praw przedawnionych korzystać.

I. K. Potocki.

„LUTROKSIĄŻKA“ I „TYGODNIK ILUSTROWANY.“

Lwów, 1 sierpnia.

Jeden z moich znajomych na Kaszubach przysłał przed kilku tygodniami sześć, zupełnie mi nieznanych książeczek, z których jedna tylko łaciņką, reszta gotykiem drukowane. Są to wydawnictwa „Wypertalskiego Towarzystwa na wydawanie książków nabożnych,“ którego siedzibą jest Wippertal w prowincyi nadreńskiej, pomiędzy Düsseldorfem a Kolonią. Pozwolę sobie przytoczyć urywek z listu mego przyjaciela. Pisze on — dosadność jego wyrażeń raczcie wybaczyć:

„Zapewne jeszcze nie dotarła do Was ta cholera niemiecka, która szerzy się u nas

coraz bardziej, zwłaszcza, że nikt nie myśli o jakiejkolwiek dezinfekcyi. Książeczki, które Ci posyłam, wykupiłem od jednej z moich rodaczek. Nabyła je na jarmarku za psie pieniądze i mogła mieć lekturę na rok cały, gdybym jej był nie obrabował z tego germańskiego pomiotu.

— *Abee to nie poeboeżne ksążcie, czé co?* — rzekła do mnie, gdym jej tłomaczył, że zajedzie z niemi do piekła wpierw, niż bez nich. *A oebrozcie tacie pészne, tacie lépe!...**).

— *Moeżeta dostac jesz snożniesze* **) — odpowiedziałem jej na to. *Jo wama kregnam w mjesce...****).

— *Ja, ja, ale za drogsze pjądze!*

Miała racyę. Co prawda, bijemy się z niemcami, ale bijemy *za drogsze pjądze.*.“ Myślę więc znowu o czasopisemku kaszubskiem, ale tak taniusiem, żeby je nawet chałupnik, żeby komornik mógł prenumerować. Polityka i oświata równocześnie! Na razie bodaj kalendarz, albo książka do modlenia. Ale pieniędzy, pieniędzy!...“

Tyle z listu mojego przyjaciela. Przeczytałem następnie dołączone książeczki, a poznawszy, co zacz są, dałem krótsze-dłuższe notatki o nich do paru pism, alarm czyniąc i nawołując do baczności. A potrzebnem to było! Szerzy się ta zgnilizna narodowa i językowa od dłuższego już czasu między naszym ludem, dociera nawet do Królestwa i Żmudzi — wedle relacyi *Kuryera warszawskiego*.

Wspomniałem też o tem pobożnem wydawnictwie w *Prawdzie* przed paru tygodniami, podając kilkuwierszową wiadomość w „Kronice bieżącej.“ O ile to możebnem było w tak krótkiej notatce, nacisk położyłem na zepsucie języka i dążność germanizacyjną wydawnictwa, a nie na wyznaniowość. Pierwsze i drugie jest tak widoczne, że przytoczywszy tytuł jednej z książek, sądziłem, iż zwolniony jestem najzupełniej od wszelkiego innego dowodu. A że podobny głos wyszedł i z obozu konserwatywnego (*Kuryer warsz.*), a nadto jedno z pism ewangielickich potępiło wydawnictwa wippertalskie, anim przypuszczał, aby mógł ktoś wystąpić w obronie „Lutroksiążki“ i tym podobnej „cholery.“ jak się wyraża mój przyjaciel, lepiej odemnie ocenić mogący doniosłość tej zarazy.

To też zdziwiłem się niepomiernie, wyczytawszy w *Tygodniku ilustrowanym*, że „*potrzebom religijnym ludu* (na Mazurach pruskich i Szląsku) *wydawnictwa takie czynią zadość* (!), *a posługują się ku temu językiem polskim, dosyć czystym* (!!!) *nawet stosunkowo*...“

A bójcież się Boga! Toż oburzyłbym się, gdybym słowa powyższe usłyszał z ust niemca i nie wiem, doprawdy, jak sądzić polaka, który podobne wygłasza zdania! I z czyich że to ust one wychodzą? Oto z łamów pisma, które niedawno, bo w zeszłym roku, tyle (i najsłuszniej) do powiedzenia miało o skażeniu języka, w porównaniu z żargonem wippertalskim, zaiste, „dosyć jeszcze stosunkowo czystego.“ Dlaczegoż więc teraz *Tygodnik ilustr.* staje w obronie języka skażonego — mało powiedziałem —zgniłego, i twierdzi, że książki, językiem tym pisane, „potrzebom ludności polskiej czynią zadość?...“ Doprawdy, nie umiem tego wytłomaczyć.

Tyg ilustr. pisze dalej: „Tymczasem niektóre pisma nasze, których widać samo nazwisko „Marcin Luter,“ w książkach tych figurujące, przejmuje dreszczem, uważają to za środek germanizacyjny. Między innemi tak się na nie zapatruje i *Prawda*(!). Więc lepiejby było, żeby pół miliona ewangielików polskich nie miało zgoła swej własnej ludowej literatury?“

Nie pomnę, aby mnie kiedykolwiek nazwisko Lutra przejęło dreszczem — nie objawiłem przynajmniej tego w notatce, umieszczonej w *Prawdzie*, która tem mniej ma powodów do popadania w spazmy na wspomnienie wielkich reformatorów. Jeżeli co, to chyba zachowanie się *Tygodnika ilustr.* w całej tej sprawie mogłoby przejąć dreszczem — dreszczem już nietylko zdziwienia, ale oburzenia. Bo i jak można insynuować komuś, że wolałby, „aby pół miliona ewangielików polskich nie miało zgoła swej własnej ludowej literatury,“ jeżeli na końcu notatki znajdowała się zanadto może nawet pełna goryczy apostrofa: „A ty spisz, Macierzy polska?!...“

Toć o to właśnie szło mnie i *Prawdzie*, aby przeciwdziałać złemu, aby „Macierz“ robiła coś, a robiła nietylko dla ludu katolickiego, ale i dla ewangielików, zdanych niemcom na łaskę i niełaskę — o to szło i idzie, aby za pomocą czysto polskich wydawnictw rugować z rąk naszych protestantów wszelakiego pomiotu „lutroksiążki.“ Ewangielicy polscy potrzebują bezwątpienia swej własnej ludowej literatury, ale zdecydujmyż się raczej na to, aby kaszubi, których niemcy porządnie szarpią, mieli swoje własne pisemko kaszubskie (odszczepieństwa narodowego niema się co obawiać), niż żeby i kaszubom i polakom podawano dalej tę wstrętną strawę duchową w jakimś tam wippertalskim języku.

Stefan Ramult.

LIBERUM VETO.

Rozporządzenie policyi berlińskiej. — Komentarz *Norda* i *Now. Wremieni*. — Poganie i chrześcianie. — Sprzeczność. — Czciciele Starego Zakonu jako prześladowcy starozakonnych — Kongres wiecznego pokoju. — Ks. Bismark i kobiety. — Sielanka w obozie. — Policya pełniąca obowiązki rodziców. — Kogo należy karać. — Za błędnymi. — Odezwa do szczupłego koła.

Policya berlińska, jak wiadomo, kazała wynosić się z Berlina wszystkim poddanym rosyjskim, których prawa pobytu nie są w dostatecznym porządku lub którym — mówiąc konstytucyjnie — źle z oczów patrzy. Brukselski *Nord*, organ, wyrażający intencye gabinetu petersburskiego, objaśnia, że między Rosyą a Niemcami stanął układ dla prowadzenia wspólnej walki z rewolucyonistami i że on jest „dopiero pierwszym krokiem na tej drodze.“ gdyż „byłoby błędem sądzić, że anarchizm tkwi tylko w niewielkiej liczbie jednostek.“ Wyjaśnienie to, od kilku tygodni powtarzane i według wszelkiego prawdopodobieństwa wiarogodne, nie wydało się dość zrozumiałem w pewnej części prasy rosyjskiej .. Upiekło go obecnie *N. Wremia*. „Z przybliżonej cyfry 15,000 poddanych rosyjskich, znajdujących się w Berlinie — powiada ono—otrzymało rozkaz wyjazdu *tylko* 1.800 osób. W liczbie tych 1,800 niema wcale, albo też prawie wcale rodowitych rosyan; przeważną większość wydalonych stanowią żydzi. *N. Wremia* obrabia wyłącznie żydów, wycinając im po kolei wszystkie organa uczciwości. „W ciągu lat ostatnich osiadła w Berlinie wielka ilość żydów rosyjskich. Okoliczność ta radowała niezmiernie żydowską prasę berlińską, ale policyę doprowadziła do rozpaczy... Żydzi ci zaczęli się zajmować wszelkiego rodzaju oszustwami. Z nich rekrutowała się większa część rzezimieszków, z nich składały się uorganizowane i szeroko rozgałęzione bandy rabusiów, złodziei, ukrywaczów, fałszerzy pieniędzy itp.“ Tym zbrodniarzom mieli pomagać współwyznawcy galicyjscy tak, że policya berlińska chętnie wydaliłaby wszystkich żydów, nawet miejscowych, gdyby się nie obawiała krzyków o antisemityzm. Nie dość tego. Owi wyzuci z wszelkich cnót izraelici — według *Now. Wremieni* — są także „mocno skompromitowani przez stosunki z anarchistami, a nawet uczestniczyli mniej lub więcej w występnych sprzysiężeniach albo okazywali współczucie dla potwornych zamysłów.“

Już chyba na biednym żydzie nie została ani jedna skóra, którąby można było zedrzeć: złodziej, oszust, fałszerz, rabuś — w moralności, anarchista — w polityce — cóż tu dodać więcej? Pozostałby jeszcze zarzut spalenia świątyni Dyany w Efezie, ale świątynia już dawno spalona. Jak widzimy, z powodu rozporządzenia policyi *Nowoje Wremia* postanowiło zjeść głównie żyda. Nie jestem wcale przyjacielem żydów zniemczonych, owszem uważam ich za żywioł najbardziej wrogi polakom, ale przyznać muszę, że żydzi rosyjscy osiadają w Berlinie przedewszystkiem dla handlu, dla rozpostarcia stamtąd swych operacyi na Królestwo i Cesarstwo, tj. na pole lepiej im znane, niż rodowitym niemcom. Że tam z nich i złodzieje, i fałszerze, i rabusie pobierają swego rekruta — to nie ulega wątpliwości. Ale nie trzeba przekraczać tej granicy, na której kończy się sprawiedliwość, a zaczyna potwarz.

Powtóre, jak wiadomo, dzisiejszy świat ucywilizowany dzieli się na pogan, którzy wypierają ze szkoły łacinę i grecki, a rozwijają idee helenizmu, i na chrześcian, którzy wtłaczają do szkoły łacinę i grecki a strzegą tradycyj żydowskich. Otóż o ile antisemityzm pojmuję w pierwszych, o tyle go nie rozumiem w ostatnich. Wszakże z Izraela wyszedł Chrystus i jego apostołowie, jakże możecie znieważać plemię, które wam dało zbawiciela i Nowy Zakon.

I co wtedy odpowiedzieliby antisemici? Uczuliby tylko paskudny wstyd, bo nienawiść do żydów wobec prawdziwego chrystyanizmu jest sprzecznością, niekonsekwencyą, obłudą z jednej lub drugiej strony. Kto czci Biblię, kto w nią wierzy, kto wierzy w Mojżesza, Salamona, Dawida, proroków, kto śpiewa psalmy — ten bezcześci własną arkę, złorzecząc tym, którzy byli jej piastunami.

W Bernie szwajcarskim odbywa się obecnie międzynarodowy kongres czcicieli wiecznego pokoju, w którego obradach, przy dobrej woli, możnaby również odkryć niteczkę znanej „intrygi.“ Grono bowiem marzycieli, jak gdyby koło nich nie rozlegał się szczęk oręża milionowych armij i jak gdyby współcześnie nie wynajdywano „torped wężowych.“ mających niszczyć całe pułki, urządza sobie niewinną sielankę na wyspie Utopii i domaga się, ażeby wojny zastąpiono sądem międzynarodowym. Ponieważ przed ten trybunał moglibyśmy również wytoczyć swój proces, zatem „intryga“ jest prawie niewątpliwa. Dotychczas uczestnicy kongresu powzięli, między innemi, dwie ważne uchwały: zwrócili się do ks. Bismarka o zneutralizowanie Alzacyi i Lotaryngii oraz powszechne rozbrojenie, do kobiet zaś, ażeby zmusiły mężczyzn do zaprzestan wojen (rozumie się orężnych). Do Berna jest trochę za daleko, ale gdyby posiedzenia odbywały się np. w Koluszkach, pojechałbym umyślnie zobaczyć, jak też wyglądają ludzie, którzy niepomni na „torpedy wężowe“ wygłaszają publicznie, uroczyście takie prośby i pod takim adresem. Pomijam wszakże ks. Bismarka, który pewnie kazał odtelegrafować kongresowi polskiem przysłowiem: nie chodź po owies do gęsi; ale czyż o sprowadzenie wiecznego pokoju mogą się starać kobiety? Chyba jego wyznawcy nie byli nigdy na operetce, w której mocno oklaskiwaną jest śpiewka: „oj, ginę za ułanami, ginę za ułanami!“ Jakkolwiek piosenka ta brzmiała u nas i doznawała powodzenia, sądzę przecież, że nasze niewiasty łatwo byłoby nakłonić do oddziaływania przeciwko wojnie, a nawet są one już dla

---

*) Takie pyszne, takie piękne (obrazki).

**) Jeszcze ładniejsze.

***) Dostanę w mieście.

tej idei zjednane, o czem kongres nic a nic nie wie, zwłaszcza jeżeli nie pamięta, ile np. jest mil z Opoczna do Geog-Tepe. Ale trudniejsza sprawa z kobietami niemieckiemi lub francuskiemi. Naprzód lubią one przeglądać się w guzikach mundurów wojskowych, powtóre wojna, chociaż urwie rękę, nogę a czasem i głowę, ale gdy nie nie urwie — przynosi korzyści. Z tego wynika, że członkowie kongresu, utrudziwszy dostatecznie szwajcarów, powinniby raz zgromadzić się w Warszawie, gdzie znajdą wielu zwolenników i zwolenniczek i skąd wyślemy energiczny protest przeciw wojnie, zredagowany przez naczelnego polityka *Gazety warszawskiej*, który posiada szczególny wpływ na ks. Bismarka.

Ale nie żartujmy. Ta gromadka marzycieli, zatopiona w pięknych snach o zgodzie i braterstwie ludów, niestrwożona głuszącemi echami militaryzmu, stanowi dziwne zjawisko, jest jakąś naiwną a ujmującą sielanką, opowiadaną w obozie, który jej wcale nie słucha. Tylko tu i owdzie pod jej dźwiękami podniesie się wzruszona pierś, a z niej wysunie się ciche westchnienienie, przerwane nagle pękającą... „torpedą wężową." Może dobrze robią ci utopiści, kiedy dziś „tyle szczęścia, co człek prześni..."

Zanim wszakże nastąpią sądy międzynarodowe, mamy kłopot z naszym sądem okręgowym, w którym gromadzą się kobiety i dzieci, chciwe estrych, często niezdrowych wrażeń. Podnosząc skargę w *Kuryerze warsz.*, p. R. W. między innymi środkami, radzi, ażeby z sali sądowej policya usuwała nieletnich i ażeby wyniesiono... ławki. Nie tyle o nieletnich, ile o ławki wszczęła się polemika, odpierająca projekt argumentem, że prawo jawności sądowej nie może być ograniczonem bez szkody dla ogółu. Nie rozpatruję skuteczności zalecanego środka, ani świętości bronionego prawa, ale pozwolę sobie zwrócić uwagę na jedno charakterystyczne znamię naszej etyki społecznej. Gdy gdziekolwiek na organizmie naszym zarysuje się plama zakażonej krwi, zamiast wzywać na pomoc hygienę, natychmiast przepisujemy do przyłożenia na nią zewnętrzny plaster policyjny. Dla powstrzymania kobiet i dzieci od gorszących je procesów, chcemy przy drzwiach postawić policyanta, a z sali usunąć ławki. Czy jednakże, szukając lekarstwa na chorobę, nie rozumniej byłoby odwołać się do rodziców i mężów? Jak to, więc stójkowy ma wyręczać ojca i matkę, dopełniać ich starania wychowawcze? A cóż robią ci panowie i te panie, których synowie wałęsają się po sądach kryminalnych? Czyż oni tu nie mają żadnej roli? Niedługo weźmiemy komisarzów cyrkułowych, ażeby wstrzymywali umizgi żaków do zalotnic ulicznych lub gimnazistom wytrącali z rąk denerwujące powieści. Za wiele żądań wkładamy na cyrkuł, a za mało na dom. Droga to niebezpieczna i śliska! Pewniejsza inna: niech ojciec nie siedzi w knajpie lub resursie, a matka nie zmiata ogonem swej sukni kurzu ulic i nie studyuje wystaw sklepowych, niech rodzice troskliwie czuwają nad każdą chwilą swego dziecka, a z pewnością nie pojdzie ono pić zgorszenia w sądzie. Gdyby mój syn wysłuchiwał procesów kryminalnych, nie kazałbym go wyrzucić z sali, ale siebie oddał do domu poprawy.

Nie na tych gnijących w miazmatycznej atmosferze młodzieniaszków, ale na biednych, uczciwych, zbiczowanych chłodem i głodem a garnących się do nauki kwestuję u was znowu szan. czytelnicy. Rok szkolny otwiera podwoje, ubodzy stoją przed jego progiem, za który często niedostatek jedynie przejść im nie pozwala. Garstka ich w porze wpisów przybędzie i do naszej redakcyi. Nie możemy wtedy mieć rąk próżnych. Część jałmużny bierzemy corocznie na siebie, ale pomocy spodziewamy się także od przyjaciół naszego pisma. Na ten podatek dobra wola zawsze grosz wdowi znajdzie. Kogo nie martwi podniesiona przez kilka pism skarga na fałszowanie „starki" litewskiej i kto nie będzie musiał sprowadzać sobie za drogie pieniądze oryginalnej; kogo silniej obchodzi sprawa oświaty, niż ponumerowanie konduktorów Drogi Terespolskiej, zapobiegające ich „brutalstwu" — ten nam datku dla młodzieży gimnazyalnej nie odmówi. Przemawiam do szczupłego koła, w którem nie mieszczą się hodowcy koni wyścigowych, ani Fikalscy, płacący jubilerom po kilkaset rubli za przybory do kotyliona, ani szykiści, sprowadzający w zimie kwiaty z Włoch, ani prenumeratorowie baletu — mimo to mam nadzieję, że w tem kole struny litości nie potrzebują uderzeń silnych, ażeby zadźwięczały.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Komitet artystyczny w Kaliszu. — Czy dojdzie do skutku? — We Włoszech. — U nas inaczej. — Restauracya dzwonnic i odświeżanie fresków. — Do czego usposobić może chłopa obraz w kościele. — Do czego wzdycha Tulon, a do czego nasze grody. — Socyalistyczne marzenia p. Sępa.

Dowiadujemy się z *Gazety polskiej* o podjęciu przez *Kaliszanina* pomysłu utworzenia „komitetu artystycznego" dla chronienia dzieł sztuki i zabytków przeszłości od zatraty i zniszczeń, lub zbyt troskliwej opieki dzisiejszych kustoszów i odnowicieli.

Jakby to było dobrze — myślisz sobie czytelniku, i gotów jesteś wraz ze mną puścić wodze radosnym marzeniom o wyrwanych z rąk wandalizmu obrazach, księgach, gzemsach, sklepieniach, gdyby nielitościwa praktyka życia nie szeptała nam obu: czy to dojdzie do skutku? Zapewne nie dojdzie.

Jesteśmy upośledzonymi kopciuchami, nędzarzami ostatniego gatunku wobec bogatej, królewskiej spuścizny artystycznej, jaką otrzymały od hojnej dłani ich przeszłości Włochy. Obfitość marmurów i materyałów budulcowych wszelkiego rodzaju obdarzyła ich gmachami, co drwić sobie mogą z niszczących zamachów czasu. Dwóch, trzech mil ujechać niepodobna, aby nie spotkać pomnika rozkochanej w pięknie przeszłości, co oko nasze przykuje do siebie harmonią barw i kształtów, co świadczyć nam będzie o minionych czasach i ludziach. Istnieją całe niemal miasta, złożone z pałaców, godnych figurować, wszystkie bez wyjątku, w atlasach architektonicznych jako wzory (Genua). Na ćwierci mili kwadratowej znaleść można kamiennych przedstawicieli wszystkich epok, poczynając od Rzymu starożytnego, aż do najświetniejszych chwil Odrodzenia.

Mieli by więc może prawo do marnotrawstwa. A tymczasem proszę zobaczyć, z jaką skrupulatnością odnosi włoski chłop do miasta każdy znaleziony kawałek muru, jeżeli na niem dojrzy ślady malowidła; z jaką potem starannością przechowywane są te odłamy kamieni i skorupki w muzeach! Ile wysiłków pracy, a często i talentu kosztuje nieraz wycięcie z muru resztek jakiegoś freska, aby go tylko zachować od zniszczenia! Ofiarą wielkiego nakładu podtrzymywane są walące się w gruzy refektarze, dla tego, że na ścianach ich zostały na poły zatarte resztki „wieczerzy pańskiej." Przez dziesiątki lat pracują artyści, aby odszukać pierwotne szkice malowanego przed wiekami obrazu, jeżeli zajdzie potrzeba odnowienia.

U nas inaczej. Mamy kilkanaście kościółków, rozrzuconych po różnych częściach kraju i zbudowanych w czystym gotyku z czerwonej cegły, zdaje mi się, jeszcze za Kazimierza Wielkiego. Kościółki takie posiadają dzwonnice, przytulone do lewego boku głównego budynku i przepyszne sklepienia.

Cegła, użyta do budowli, jest dziś, czy może zawsze była, niesłychanej twardości. Siłą ręki ludzkiej niepodobna jest ukruszyć z niej ani kawałka. Ale „kule szwedzkie" porobiły w dzwonnicy szczerby, te z czasem wzrastały i za dni naszych trzeba było gruntownej restauracyi. Proboszcz miejscowy zbiera składki, wznosi nowy budynek, maluje go na biało glinką, czułą nadzwyczajnie na deszcz, ozdabia w czokoły pomysłu miejscowego mularza i przykrywa kopułą, przypominającą nieco szabasową czapkę rabina, nieco przewróconą do góry dnem donicę. Sklepienie psuć się zaczęło, albo wizytujący biskup kazał wyciąć w niem wentylatory, a ponieważ na pięć mil naokoło nie ma nikogo, co by zrozumiał wartość uszkodzenia, więc na połamane w śliczne luki tło dostaje się gładka plama.

Znam jeden kościołek w nadetatowem miasteczku, zbudowany przez Branickiego. Właściciel Białegostoku, Wersalu podlaskiego, z łatwością mógł znaleść w wieku Stanisława Augusta odpowiedniego artystę i kościół przyozdobionym został we wcale ładne obrazy, malowane na murze i okolonym u samej góry girlandą wazonów z kwiatami równie freskowej roboty. Przed laty kilku odświeżenie obrazów poruczono wędrownemu poczciwcowi, który w razie potrzeby mógł spełniać i malarskie roboty. Podjął to zadanie bardzo roztropnie, bo nie pozwolił rozbrykać się własnej oryginalności, lecz tylko kładł na stare farby nowe, w tem samem porządku, jak były przedtem. Ale cóż—dawniejsze powiewne anioły poprzemieniały się w chłopców, pasających konie na wypuście. Wazony wyglądają jak by wszystkie popękały w jeden sposób. Fałszywe balkony i balustrady, pomimo iż zyskały żywość barw, tak gdzieś straciły perspektywę, że przypominają widziane zbliska dekoracye teatralne. Cherubiny, podtrzymujące lichtarze, zdaleka podobne są zupełnie do wijących się w wodzie sumów.

Rzecz prosta, że na proboszczów spada tylko niewielka część winy za takie barbarzyńskie niszczenie piękna. Obowiązkiem ich jest chronić kościoły od ruiny, a niema im kto ani zwrócić uwagi, ani poradzić.

To jeszcze nie wszystko. Próbowano w różny sposób trafić u nas do ludu sztukami pięknemi. Układano piosenki odpowiednie, tworzono orkiestry, zachęcano do snycerstwa. Dotąd, o ile wiem, o współudziale architektury i malarstwa, nie pomyślano. Siłą fatalnej konieczności szersze masy ludowe z duchowym światem tylko w kościele stykać się mogą. Chłopu naszemu nietylko drą uszy piszczeniem i zgrzytaniem na organach, jakby chcieli za życia uprzytomnić jęki potępionych w piekle, ale mu jeszcze stawią przed oczy gryzmoły zdolne pobudzać do takich wzniosłych czynów, jak rozbój, podpalanie i pijatyka. W głównym kościele jednego z dziewięciu miast gubernialnych wisi taka ilość obrazów, że gdyby urządzić wystawę potworności, to by ani sala p. Krywulta, ani lokal Towarzystwa Zach. Szt. Pięk. nie wystarczył. Nie mamy środków do dania ładnych płócien, ale moglibyśmy przynajmniej usunąć z przed oczu ludowi te szkaradzieństwa, na które dziś patrzy.

Moglibyśmy... to nie przyjdzie jednak do skutku.

Innem jeszcze *pium desiderium* mam się podzielić z wami, które również pozostanie na długo w sferze błękitnych marzeń. Okrywając żałobą liczne rodziny we Francyi, cholera przyniosła naszym gubernialnym stolicom pewną korzyść. Potworzono tam komitety sanitarne, podzielono miasta na cyrkuły, a to w celu walki z trującemi miazmatami na ulicach, podwórzach i w do-

mach. Znowu mi myśl przychodzi, że może na papierze gazet te środki nieco lepiej wyglądają, niż wśród murów Łomży i Płocka, ale przyjmuję najlepszy wypadek i daję wolę marzeniom.

Gdyby to tak w Radomiu np. przyszło komu do głowy, że choroby można równoprawnić, że jeśli nie dyfterytis sam, to dyferytis, tyfus itd. razem są wstanie dorównać potędze cholery. Może więc dobrzeby było, aby napędzone strachem innowacye zaaklimatyzowały się na starych i nowych rynkach, pod farami i w ogrodach spacerowych. Do usunięcia czystości nie wypada przecie tak wzdychać, jak tulończyk do pozbycia się zarazy, a powszednich zapachów pożądać, jak wzbronionej surowizny.

Nic z tego, niech no tylko Francya wyprawi cholerę na suche lasy, a nasze grody nie spóźnią się z posłaniem za nią komitetów.

Nietylko ja jeden w Warszawie marzę o niespełnialnych przemianach. Marzy o czemś podobnem i p. Sęp z *Biesiady literackiej*. Tylko, że ja się skromnie trzymam szczegółów życia, jego zaś wyobraźnia tęskni do... nikt nie zgadnie... do ustroju socyalistycznego. Do ustroju socyalistycznego powtarzam, żeby kto nie przypuszczał, że zaszedł *lapsus calami*. Żałuję, że członkowie *Przedświtu* i *Ludu polskiego* nie czytują organu p. Maliszewskiego, jakżeby się cieszyli. Podobno w Opatowskiem istnieje rodzina, *władająca wspólnie majątkiem* już od czterech pokoleń. P. Sępowi przypominała się prastara i prasłowiańska gmina, uprzytomniło mu się ciepło rodzinnej miłości w niepodzielonem majątku i rozczulony tem nie chce nawet sprawdzać faktu, aby nie trworzyć rozkosznego widziadła. W jaką to matnię wpaść można, sentymentalizując tkliwie wobec spuścizn tradycyi, zamiast spokojnie i rozważnie patrzeć na zjawiska społeczne! Rodzina jest instytucyą zbyt drogą dla ludzkości i zbyt trwałą, aby potrzeba było dla dobra jej tęsknić aż do przeżytych form. Niech p. Sęp zajrzy do szanowanego zapewne przez niego Le Playe'a, a przekona się, że patryarchalna rodzina była i jest dobrą przy niższym rozwoju społecznem, z biegiem zaś czasu, przy zmienionych warunkach, ustępuje miejsca innym równie trwałym (trwalszym nawet), a bardziej dogodnym formom.

Kijów. I wydarło się z łona matki Ukrainy bolesne westchnienie po wielkim obywatelu. Zgasł w Paryżu hr. Władysław Branicki. Dzienniki najrozmaitszych odcieni i barw rozniosły tę smutną nowinę, posypały się nekrologi. U nas w Kijowie nietylko *Zaria*, lecz nawet *Kijewlanin* trybularz rozniecił.

Stało się! Wedle prastarej zasady—„de mortuis aut bene, aut nihil." Lecz jeśli pochwały i panegiryki wychodzą po za obręb ściśle rodzinny, a wkraczają w sferą hołdów publicznych, to przecież wolno zapytać, za co pamięć jego sławią? O W. Branickim za życia jego, choć spędziłem całą swą młodość na Ukrainie, słyszałem niewiele; doprawdy więcej o jego posiadłościach i rządcach, bo ci przynajmniej stale w kraju siedzieli. Cóż tak pobudziło naszą prasę? Może rozdał na cele publiczne połowę fortuny?—nie; może zbudował tyle zakładów naukowych, ile dziesiątków milionów posiada? — i to nie; może ucierpiał za prawdę? może się wsławił na polu nauki? — nie i nie. Cóż więc go wyróżnia z liczby innych śmiertelników? Z nekrologów mogłem się dowiedzieć tylko tyle, com słyszał za życia jego, mianowicie: miał lat sześćdziesiąt kilka, krezusową fortunę (dwa klucze: Białocerkiewski i Olszaniecki), raz był marszałkiem powiatowym, zbudował kilka fabryk cukrowych i ciągnął z nich zyski niemałe, był szambelanem dworu i dał kilkadziesiąt tysięcy już bardzo dawno temu na zbudowanie gmachu dla gimnazyum w Białej Cerkwi. Ta ofiara może jedynie zaważyć coś na szali zasług publicznych, lecz w stosunku do olbrzymiej fortuny, jakże maluczką się wydaje. Głęboko jestem przekonany, że roczne utrzymanie domu nieboszczyka kosztowało wielekroć więcej, niż ta okrucha dobroczynna; no, ale i za to *spasybi!*

Poszukajmy w nekrologach, może co jeszcze znajdziemy. *Kijewlanin* mu za zasługę poczytuje, że należał do komitetu, pracującego nad uwłaszczeniem włościan. No, to chyba gorżka ironia, bo przecież ta praca, wiemy, że trudną nie była, a dotykała bardziej interesów samego p. Branickiego, niż włościan, więc jeśli trudził się, to nietylko dla społeczeństwa, lecz i dla siebie; zasługi tu nie widzę żadnej, zwłaszcza gdy przypomnę sławne i głośne u nas zajście w jego dobrach. Wszak jeszcze tak niedawno—lat temu kilka — w majątku p. hrabiego władza militarna pomagała sądowej wykonywać wyroki w sprawach czynszowych; a obecnie p. Spasowicz zapewne nie dla pięknych tylko oczu p. hrabiego wypracował gruby tom, mający posłużyć za skargę kasacyjną w przegranych przez Branickiego procesach czynszowych. Coś mi się zdaje, że za koszta tylko tych procesów możnaby było drugie gimnazyum wystawić. W przeszłym nawet roku, wypadkowo przejeżdżając przez Olszanę do Zwinogródki, byłem prawie świadkiem, jak kozacy gospodarowali w tym kluczu z powodu, że p. hrabia bez sądu miał zabronić włościanom rąbania drzew w „sadach," pozostających w ich władaniu na prawie źle umówionej własności.

Czemże więc tak wyróżnił się p. Branicki w rzędzie naszych magnatów? Chyba tem, że nosi głośne imię, pusty tytuł i zostawił dwie bogate córki. Biednaż ty matko Ukraino, gdy ci przychodzi tylko takich ludzi sławić!

Nakoniec niech mi tu wolno będzie przytoczyć króciutkie własne wspomnienie. Lat temu kilka, upoważniony przez Towarzystwo prawnicze kijowskie i zaopatrzony w listy rekomendacyjne, udałem się do pełnomocnika p. Branickiego, także utytułowanego, z prośbą o dozwolenie przejrzenia i zapisania materyałów do historyi prawa czynszowego, kryjących się w bogatem, lecz niedostępnem archiwum Białocerkiewskiem. Skończyło się na tem, że wyjechałem z Białej Cerkwi, nie widziawszy nawet drzwi, do archiwum wiodących, a to z tego powodu, że „dla hrabiego było ważnem, w jakim kierunku miała być praca prowadzoną." Jeżeli wymaganie od historyi, by ona komuś w celach praktycznych tylko służyła, jest zaszczytnem—to niech to króciutkie wspomnienie moje wplotą jako drobny listek do wieńca chwały naszego wielkiego, nieodżałowanego obywatela,

Br!.. Słota i chłody już od kilku dni nas trapią. Kuli się człek w chacie i z musu gazety kijowskie czyta. Rzecz to znowu nie tak nudna. Uśmiałem się serdecznie, gdym przejrzał parę ostatnich numerów *Kijewlanina* i *Zari*. *Kijewlanin* ma reputacyę ustaloną i zdradzić sprawy nie myśli; lecz przytem coś w tej redakcyi dzieje się niepojętego. Pisemko, wietrzące w każdym numerze albo „intrygę." albo „sprawę polską," wymyślające nam niestworzone rzeczy połowę swych łamów zapełnia przekładami z polskich źródeł. Dwa działy: kronika i fejleton są prawie zawsze polskie. W kronice codziennie figurują przekłady z *Kuryerów*, a w fejletonie stale goszczą tłomaczenia noweli polskich, często nawet bez wskazania autora. Ożywioną i zabawną obecnie polemikę wzbudziło przejście dwóch stałych i głównych współpracowników z *Kijewlanina* do *Zari*. Mężowie ci: Iwan Nowicki, historyk, etnograf, ekonomista etc. i Andrej Iwanow, lingwista i polityk—mają u nas w Kijowie wielką sławę. P. Nowicki położył nawet pewne zasługi, pracując nad ułożeniem i wydaniem akt i opisów naszego Archiwum centralnego i gromadząc materyały etnograficzne. Posiada on dużo nauki i wiedzy i handlował nią długo w sklepiku *Kijewlanina*, niezawsze jednak podpisując artykuły własnem nazwiskiem. P. Iwanow, ex-nauczyciel łaciny, wydalony z gimnazyum za zbytnie wymagania od uczniów, obecnie stworzył własną pisownię rosyjską i walczy o nią z wiatrakami; w polityce zaś gromi „chłopomanję" (literaturę ukraińską), pomawia rusinów o separatystyczne zamiary, wreszcie jawnie żąda zawojowania Galicyi jak najprędzej, gdyż tam Austrya z rosyan robi jakichś rusinów, od których znów płynie zaraza i w nasze strony. Ideały jego polityczne sięgają ni mniej ni więcej, jak do zjednoczenia wszystkich ludów na kuli ziemskiej. Pod wpływem języka rosyjskiego (nie wiem tylko którego z pięciu odrębnych narzeczy) ma się stworzyć państwo wszechsłowiańskie z jednym językiem; to państwo pochłonąć ma glob cały, ku czemu skłonność widzi p. Iwanow np. w Ameryce, która tak się zachwycała chóralnym śpiewem kapeli p. Sławiańskiego na koncertach i w cerkwi. Stało się niedawno, że pp. Nowicki i Iwanow, te dwie główne siły polako-żydo-ukrainożercze przeszły z *Kijewlanina* do *Zori*. Nowicki na nowej niwie uprawia ekonomię i etnografię, a Iwanow drukuje niepozbawioną poważnej wartości obszerną monografię o kijowskiem towarzystwie wzajemnego kredytu. Co jest powodem emigracyi tych panów—trudno odgadnąć. Iwanow skarży się, że chwilowy redaktor i zastępca p. Pichuy jest o tyle głupim, iż nie chce pojąć konieczności zmian w alfabecie rosyjskim, redakcya natomiast łaje p. Iwanowa i nazywa go waryatem. Ja myślę, że obie strony w części może i mają racyę, lecz się przytem mylą. Czy nie byli za kosztowni ci panowie dla *Kijewlanina* wobec straconego ostatecznie kredytu u czytelników i uszczuplonego zasiłku rządowego? Ale jak też zużytkuje nabytki *Zaria?*

Los chciał, by mój list dzisiejszy całkowicie był poświęconym rozmaitej chwale rozmaitych ludzi. Nie mogę bowiem nie donieść wam nowiny dotyczącej pomnika wieszczowi ukraińskiemu Tarasowi Szewczence. Parę dni temu z odlewni p. Termena wysłano wielki krzyż do Kaniowa dla ustawienia go na mogile. Sprawa pomnika załatwiała się w ciągu 23 lat i przechodziła często smutne, często komiczne fazy. W początku, gdy wiosną 1861 r. przywieziono z Petersburga zwłoki poety i pogrzebano wedle jego woli na wysokiej górze, niżej Kaniowa nad Dnieprem, okolica została bardzo zaniepokojoną, gdyż łącząc imię Szewczenki z widmem hajdamaczyzny, podejrzywała, że w tej skrzyni żelaznej spoczywają nie zwłoki, lecz noże święcone. Mogiły wszakże na razie nie otworzono, bo władza duchowna nie miała dostatecznego upoważnienia. Plac na mogiłę wydzierżawił od miasta krewny poety p. Bartłomiej Szewczenko kontraktem wieczystym. Na razie postawiono dębowy krzyż i czekano chwili i możności postawienia pomnika. Lecz chwila ta odciągała się. Dopiero w pozaprzeszłym roku, gdy krzyż podgnił i runął, myśl o pomniku znowu nurtować zaczęła. Powstały składki; jedno z ziemstw zadnieprzańskich wyznaczyło znaczną sumę z pieniędzy publicznych. Ale na pierwszym kroku powstały trudności. Zarząd miasta Kaniowa zaprotestował przeciw sile kontraktu z powodu, że w którymś roku czynszu (rs. 2) nie opłacono i prosił, ażeby zebrane pieniądze wydano miastu na szkołę ludową. Administracya nie wiedziała, czy ma prawo pozwolić krewnemu poety wystawić na swej ziemi pomnik na mogile za grosz publiczny. Długo tę zagadkę rozstrzygano, aż teraz rozwiązano ją ostatecznie. Będzie to pomnik skromny i oryginalny. Na szczycie wysokiej góry usypano dość duży kurhan a na nim stanie na fundamencie kamiennym prosty wielki krzyż metalowy. Obok kurhanu stoi chata ukraińska o dwu izbach: jedna dla stróża, druga „świtlycia" dla odwiedzających. Cała miejscowość otoczona baryerą. Miejsce urocze, widoki cudowne.

Panowie i panie, jeśli odważycie się zwiedzić to miejsce, upewniam was, że tam nożów, ani spis nie ma, jak nigdy nie było ich w cudnych, serdecznych pieśniach Tarasa. Widma sobie sami stworzyliście, boście *Kobzara* albo nie czytali, lub czytać nie umieli.

Ces. N.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 14 sierpnia.

Dzienniki wszystkich języków i barw przeżuwają dotąd możliwe wyniki londyńskiej konferencyi. Wszystkie gazeciarskie wyrocznie polityczne nie przestają kiwać

głowami i stukać w palce: kto zyskał Francya, czy Anglia? Trudno jest jakoś zgodzić się na to, aby jednemu przeciwnikowi przyznano racyę, a drugi na przegranej zarobił. A jednak był już czas przekonać się, że zuchwała wyspa lekceważy głosy konferencyj i państw i umie swe interesy prowadzić dobrze a energicznie.

Stukaniem w palce są także wnioski o zjeździe cesarzów dwóch państw, niemieckiego i austryackiego w Ischl, jak równie widzenie się kierowników zagranicznej polityki tychże mocarstw w Gastein, ks. Bismarka i hr. Kalnoky'ego. Co stąd wyniknie: wznowienie austro-niemieckiego przymierza, którego termin upływa *podobno* w jesieni r. b., czy też wskrzeszenie trójcesarskiego związku? Nic nie wiadomo. Reporterzy zdołali się dotąd tylko dowiedzieć o grzecznościach, wypowiedzianych przez nestora monarchów europejskich zawsze pięknej cesarzowej rakuskiej.

Schlötzer też nabawił kłopotów domyślność dziennikarską; nietylko że w sposób dosyć niewyraźny opuścił w tym roku Rzym, gdzie bawił przy Watykanie, jako poseł niemiecki, ale naopowiadał jeszcze sprawozdawcy *Hamburger Correspondent* różnych drażliwych kombinacyi o dyplomacyi papieskiej, z którą jakoby do ładu trafić niepodobna. Nie można zgadnąć, czy Sch. rzeczywiście mówił, czy sprawozdawca skomponował, czy, w pierwszym wypadku, pan poseł otrzymał natchnienie kanclerskie, czy zahazardował się na własne ryzyko. Oczekują z dnia na dzień zaprzeczeń z Rzymu lub z Berlina, a tymczasem panuje wciąż i tu i tam jaknajbardziej głuche milczenie.

Gordon dał znać nareszcie o sobie, wyprawił na świat list przez jakiegoś zucha, któremu udało się ujść czujności oblegających wojsk Mahdiego. Dzielny wódz angielski ma pod swemi rozkazami 8,000 żołnierzy przeciw 16,000 oblegających, posiada statki wojenne i do dziś trzyma wojska nieprzyjacielskie w należytem oddaleniu. Prawdopodobnie doczeka szczęśliwie odsieczy.

Do spraw międzynarodowych (a nawet politycznych) zaliczyć wypada i cholerę. Nietylko, że przenosi się ona z miejsca na miejsce bez kart legitymacyjnych, ale nawet nawet najwyraźniej drwi sobie z obostrzeń nadgranicznych wyłącznie na jej rachunek urządzonych. Włochy zabarykadowały się przeciw wtargnięciu niepożądanego tego gościa, jak mogły najlepiej, naraziły się na kłótnię ze Szwajcaryą, a tymczasem zaraza, opuszczając Francyę, udała się nie do źle strzeżonej Szwajcaryi i Niemiec, lecz właśnie do ostrożnej Italii i tam już w różnych punktach sobie gospodaruje.

W Belgii jak wiadomo aż do ostatnich chwil w parlamencie istniało dwa stronnictwa: konserwatywno-klerykalne i liberalno-postępowe. Zwyciężały się na wzajem i siły ich były w takim stosunku, że szanować się musiały. Tymczasem dzięki zbyt szczodrej gospodarce finansowej postępowców w ostatnich czasach, ludność większą niż zwykle sympatyą otoczyła przy wyborach partyę konserwatywną i obecna Izba ma nieproporcyonalną większość rządową. Kierownicy ministeryum pp. Malou i Jacobs korzystają z pozycyi i przeprowadzają energicznie swe plany, z których głównemi są: nawiązanie politycznych stosunków z Watykanem (w Belgii niema nic podobnego do francuskiego konkordatu, kościół jest wolny, więc konieczności, ani nawet potrzeby takiego kroku niema), a powtóre, zniesienie reform szkolnych z 1879 i wprowadzenie faworyzowania szkół klasztornych, jezuickich.

Ludność poznała swój błąd i przy wyborach dopełniających bardzo wyraźnie odwróciła się od rządu. Izba otoczona wciąż prawie manifestantami nieprzyjaznymi prawicy. Minister spraw wewnętrznych i oświaty, Jacobs, urządza kontr-manifestacye katolickie, a raz nawet sprowadził wojsko: doszło do bójek. Rady miejskie, pod kierownictwem burmistrzów Brukseli i Antwerpii, wystąpiły do walki energicznej przeciw ministeryum w sprawie szkolnej i żądania swoje posuwają aż do domagania się rozwiązania Izby. Już dawno nic podobnego nie widziano w Belgii.

Paryż. Kongres odrzucił wszystkie poprawki i przyjął rewizyę 509 głosami przeciw 162. Sesya zamknięta. Cholera podobno wybuchła z wielką siłą w południowo-wschodnich departamentach.

Berlin. *Norddeutche'rka* pomieściła nareszcie uspakające wyjaśnienie w sprawie Schlötzer-Watykan, zwalając winę na *Hamburger Correspondent.*

CUDZE GŁOSY.

Przesada. Lwowskie *Diło* powstaje energicznie przeciwko projektom skierowania emigracyi chłopów z zachodniej Galicyi do wschodniej, zamiast do Ameryki. Według organu rusińskiego „polscy szowiniści“ pragną, aby mazurski *proletaryat* nabywał drogą parcelacyi większe majątki na Rusi. Z projeku tego wynika, że:

„Pozorne zapobieganie wychodźtwu mazurskiego proletaryatu do Ameryki jest tylko obłudnym, wiarołomnym płaszczem, którym szowiniści nasi zakrywają przed rusinami istotny cel kolonizowania Rusi przez mazurów. My widzimy, że im idzie o mazurów, jako o takich, jako o polski element—i to wcale nie o biedny, ale o zamożny—i dlatego agitują oni między mazurskimi kmieciami, ażeby ci sprzedawali swą ziemię na Mazurach i przenosili się na Ruś. Proletaryusz nie nabędzie ziemi za kilka tysięcy złotych reńskich—zresztą proletaryusz, w dodatku mazur, butniejszy od naszego rusina, byłby właśnie niebezpieczny dla szlachty.

Kolonizowanie Rusi przez mazurów służy dziś polskim niwelatorom za jeden ze środków do polszczenia i łacińszczenia ruskiego narodu... Halicko-ruski naród z dniem każdym przychodzi do coraz większej narodowej świadomości — trzeba chwytać się wszelkich środków, aby spynić wzrost jego siły. A w projektach *„na zniszczenie Rusi“* jeszcze za czasów Rzeczypospolitej była postawiona również kolonizacya przez polski element. Obecnie jest tylko „ciąg dalszy.“

Niemniej od *Diła* jesteśmy wrogami wszelkich pomysłów polszczenia rusinów, jako narodu; musimy jednak zauważyć lwowskiemu koledze, że, walcząc w słusznej sprawie, nie należy dochodzić do przesady. Dziś kolonizacya nie jest wypływem tendencyj politycznych narodu, tak jak nim być nie mogła za czasów państwa, w którem przeważną siłę stanowiła szlachta *ruska* (z pochodzenia i języka).

Wybór ekscelencyi. W czasie ostatnich wyborów do Rady powiatowej w Łańcucie (w Galicyi) ciekawa rozegrała się walka w grupie wyborców z większych posiadłości. Opisuje ją *Dziennik poznański*:

„Szlachta podzieliła się na dwa obozy: „stańczyków“ i „antistańczyków.“ Na czele pierwszych walczył młody hrabia Karol Scipio — przewódcą demokratów był p. Kellermann — nie myślcie, broń Boże, że niemiec jaki! Otóż stańczyki, aby zgnieść demokratów, postanowili użyć radykalnego środka: wysunęli na arenę walki nazwisko hr. Alfreda Potockiego. Wysłali do niego deputacyę z zapytaniem, czy przyjąłby wybór. P. Potocki odpowiedział, że od żadnej przysługi obywatelskiej nie usuwał się nigdy, więc itd.

Następuje wybor Przy pierwszem głosowaniu p. Potocki... pada. Powszechna sensacya. Rozgorączkowany tym niespodziewanym obrotem rzeczy p. Scipio rezygnuje z swojego mandatu, a prosi panów braci, ażeby raczyli przelać dane mu głosy na Jego Ekscelencyę. W głębokiej ciszy następuje ponowne głosowanie i cóż się dzieje? Oto pada i hr. Scipio, a wychodzi z urny nowy kandydat demokratyczny. Wówczas występuje znowu dwóch stańczyków ze zrzeczeniem się mandatów i znowu perswadują zgromadzonym, jak dalece gorszącą jest rzeczą nie wybrać hr. Alfreda Potockiego, gdy już raz nazwisko jego w walkę wyborczą zostało wmieszane. Następuje głosowanie i pada poraz trzeci hr. Potocki wraz z wszystkimi swoimi adherentami, a mandaty ich przechodzą wręce demokratów.

I tak we własnej rezydencyi pobity został wraz z całem swojem stronnictwem przez garstkę szlachty wioskowej pierwszy na całą Polskę magnat, były marszałek krajowy, namiestnik i prezes ministrów!..“

Należy jeszcze dodać, że zwolennicy p. Kellermanna walczyli pod hasłem: nam potrzeba dobrych gospodarzy na czele reprezentacyi powiatowej, a nie splendoru i wysokiej polityki. Brawo!

O PRAWDĘ.

Szanowny Redaktorze! Z podziwem przeczytałem kilkanaście wierszy Pańskich, dotyczących lekarzy a pomieszczonych w ostatniem (31) „Liberum veto.“ Wogóle zdanie *Prawdy* odnośnie lekarzy jest dość niewyraźnem. Raz ich potępia za chęć wyzyskiwania publiczności; w następnym zaraz numerze apoteozuje ich za wielką dobroczynność; wkrótce potem znów występuje przeciwko nim w tej samej kwestyi.

Lecz wracam do rzeczy. *Dziwisz się*, Szan. Redaktorze, że lekarze chcą zapłaty za poradę w razie cholery. Cóż w tem dziwnego? Zagadką jest dla mnie, skąd publiczność powzięła przekonanie, że lekarze gwałtem domagają się tytułu dobroczyńców ludzkości (tak samo wyraziła się i *Prawda* przed paru tygodniami).

Ależ panowie, ręczę wam, że wszyscy lekarze z ochotą radziby zrzec się tego tytułu, byle tylko nie byli zmuszani do bezpłatnej porady na każdym kroku. Jeżeli czasami odezwie się głos jakiś w kwestyi uregulowania płacy lekarskiej, zaraz go spotykają krzyki w prasie. Ależ na miły Bóg! Cóż znaczy recepta dla chorego, który nie ma za co kupić lekarstwa, ciepłego ubrania, zdrowego pokarmu, wygodnego pomieszkania, gdzieby wilgoć nie sączyła się kroplami ze ścian, a światło nie dostawało zastępującemi okna drzwiami. A jednakże nie krzyczycie, panowie, na aptekarza, kupca, adwokata wreszcie, który nie chce podjąć się za darmo obrony sierot wydziedziczonych, obrony, która może mu się przytrafić zaledwie parę razy w życiu. Jeden lekarz obowiązanym jest do dobroczynności—dlaczego? Dlatego, że on nie poświęca pieniędzy, tylko czas. *Hier ist der Hund begraben.* Dotąd jeszcze nie nauczyliśmy się cenić czasu swego i cudzego. Raczcież, panowie, zwrócić na to uwagę, że lekarz musi przecież na chleb zapracować, nadto musi choć cośkolwiek przeczytać, by nie pozostać nazbyt w tyle z tym zasobem wiedzy, jaki mu uniwersytet dostarczył. Czy jest to możebnością, jeśli, oprócz przeważnie licho płatnej praktyki, trzeba jeszcze leczyć masę chorych zadarmo, przytem chorych z których wielu udaje tylko biednych?

Kto ma pojęcie o szybkim kroku, jakim zdąża obecnie wiedza lekarska, ten z pewnością odpowie, że nie. Z tem wiąże się przyczyna niezadowolenia publiczności z lekarzy i odwrotnie. Na prowincyi szczególnie lekarz, mając mnóstwo zajęcia, lecz często niewiele dochodu, *z konieczności* często traktuje chorych niedbale. Publiczność to rozumie i stara się o jeszcze jednego lekarza. Pracy jest tyle, że dwóch rzeczywiście ma co robić, lecz ponieważ dochody na utrzymanie dwóch nie wystarczą, jeden prędko zwykle się wynosi. I znów zaczyna się niedbała porada i narzekania publiczności. Widzimy zatem, że rezultaty dobroczynności, zwalonej na barki jednostek, nie zawsze są dobre. Oddawna zrozumiała to Francya i tam za biedną jednostkę płaci gmina. Czyż u nas nie możnaby tego samego urządzić? Myśl nieboszczyka Girsztowta: „nie bierz nic od biednych, bogaci niech ci zapłacą,“ mogła być kiedyś dobrą, gdy było więcej tych bogatych i gdy chcieli lepiej płacić, niż obecnie. Dziś lekarze domagają się taksy, by ci sami bogaci nie płacili im mniej, niż się należy.

To, com rzekł wyżej, zastosuję i do pomocy lekarskiej na wypadek cholery. Czy się tam który lekarz cie-

szył z cholery, nie wiem. Wiem tylko to, że na wszystkie choroby zaraźliwe najwięcej umiera tych, którzy mają bezpośredni stosunek z chorymi; a także wiem i to, że dotąd nie wynaleziono żadnego specyfiku, któryby ich bronił przeciw cholerze. Dla czegóż więc lekarz, narażający swe życie, żyjący tylko z praktyki, ma pełnić usługi sam jeden w społeczeństwie zadarmo? Praktyczni niemcy inaczej tę kwestyę pojmują, na dowód czego wspomnę o wynagrodzeniu ekspedycyi Kocha. U nas lekarze żądają od społeczeństwa zwykłej zapłaty w zamian za niebezpieczeństwo, na jakie się narażają, lecz i to prasa uważa za wymagania zbyt wygórowane.

Jeszcze słów parę w kwestyi lekarzy bez praktyki. Mrąc z głodu i cierpiąc zimno, w dziurawych i wykoszlawionych butach, przebrnął gimnazyum. Bez grosza wstąpił na medycynę. Tu działo mu się nie o wiele lepiej. Korepetycye, wsparcia z koncertów wystarczały mu zaledwie na skromne utrzymanie. Wreszcie otrzymał dyplom. Jak matka tem bardziej kocha dziecko swoje, im więcej trudów dlań poniosła, tak on całą siłą duszy swojej ukochał wiedzę. Czuł przytem, że ciągły niedostatek wyrobił w nim silną wolę i zamiłowanie do pracy. Pozostawało dlań jedno z dwojga: albo zaniechać dalszego kształcenia się i zaprządz się do ciężkiego jarzma na prowincyi, co dałoby mu jednak utrzymanie; albo pozostać w Warszawie, utrzymywać się, jak Bóg dał, lecz dalej uprawiać wiedzę. Jeden ze starszych lekarzy, zapytany o poradę, rzekł mu: „jeśli chcesz iść drogą nauki, musisz długo biedę cierpieć.“ Wielu z nas zaczynało tak samo. Zczasem się wyrobisz. Wiedza nasza może na tem zyskać. Przejrzyj *Rocznik medycyny*, a przekonasz się, że większość pracujących na polu nauki lekarskiej u nas należała do rzędu ludzi biednych, jak ty. Niektórzy z nich mają się obecnie dobrze, inni nieźle, inni posiadają zaledwie tyle, że się utrzymać mogą. Z tem wszystkiem nie opuszczają jednak Warszawy, gdyż tu tylko mogą pracować na polu nauki. Ci, którzy wyjechali na prowincyę, dla nauki zaginęli prawie wszyscy. Zresztą, jeżeli nawet po latach kilku wyjedziesz na prowincyę, więcej przyniesiesz korzyści, niż obecnie. Wobec tego bohater nasz decyduje się pozostać w Warszawie. O praktyce nie marzy, jałmużny nie żąda, nawet do Kasy Mianowskiego nie kołacze, z góry będąc przekonanym, że nic nie otrzyma. Stara on się o jakiekolwiek zajęcie, które, dając mu nędzne utrzymanie, pozwalałoby jednak dalej studyować medycynę. Zdaje się, że społeczeństwo powinno popierać takie jednostki, jeśli już nie materyalnie, to chociaż moralnie. Tymczasem w miejsce moralnego poparcia, zachęty do pracy, których prasa nie szczędzi pierwszemu lepszemu artyście ogródkowemu, spotyka młody medyk uszczypliwe żarciki w rodzaju tych, jakie pomieściłeś, Szanowny Redaktorze, w ostatnim numerze *Prawdy*. Publiczność zaś bardzo łatwo przejmuje się poglądami gazet. Obecnie są już tacy, którzy wstydzą się przyznać, że bywają u młodego lekarza, dlatego, że ten nie trzyma lokaja i ma jeden tylko pokoik (autentyczne!). A teraz proszę sobie wyobrazić, jakby spotkano młodego lekarza, gdyby przyszedł o korepetycyę się starać i zaraz przytem powiedział, kim jest?

Sądzę, Szanowny Redaktorze, że w imię prawdy, nie odmówisz mi zwrócenia uwagi na powyższe myśli. Pozostaję itd.

Jeden z młodych lekarzy.

Dajemy autorowi satysfakcyę zupełną—zamieszczamy jego list. Ale nie możemy się pozbawić prawa do kilku zastrzeżeń. Naprzód *Prawda* nie dziwiła się nigdy, że lekarz za swą pracę żąda wynagrodzenia. Powtóre uwagi nasze (w *Liberum veto*) zaznaczyły po prostu ten fakt, że w Warszawie namnożyło się lekarzy bez właściwego zajęcia, którzy pełnią w prasie rozmaite obowiązki i wyczekują — chorób. Co autor mówi o ich ciążeniu do Warszawy dla studyów naukowych jest tylko w części słusznem. Całe nasze życie umysłowe uległo szkodliwej centralizacyi, ogniskującej wszystkie siły inteligencyi w Warszawie ze szkodą prowincyi. Tak się dzieje w literaturze, handlu i przemyśle, a nadewszystko w świecie lekarskim. Znaczna część młodych medyków trzyma się w biedzie stolicy nie dla żadnych badań naukowych, ale dla rozrywek i przyjemności, ze wstrętu przed nudą i jałowością prowincyi. Pozostaje błędne koło: prowincya odstrasza bo jest ciemna i martwe, a jest ciemna i martwa bo ludzie ukształceni jej unikają. Zaznaczony przez autora wypadak, że działający w niej lekarz „z konieczności traktuje chorych niedbale,“ gdyż ma ich wielu a dochodu mało, nie wytrzymuje najlżejszej krytyki, ani moralnej, ani praktycznej. Ponieważ dotychczasowe zdanie *Prawdy* w tym przedmiocie wydaje się autorowi „niewyraźnem,“ objaśniamy go, że podpisujemy w całości jego zasadą: lekarz na równi z innymi zawodami ma zupełne prawo do wynagrodzenia za swą pracę, a dobroczyńcą być nie potrzebuje, jeśli nim być nie chce. Po za walczącymi o własny jedynie byt znajdzie się zawsze dostateczna liczba wyjątkowych charakterów, podtrzymujących chwałę tego zastępu. Reszcie wolno wziąść sobie dyspensę od wszelkiej ofiarności, byle tylko dla poprawy swych interesów nie życzyli u nas chorobom dobrego żniwa. (*Red.*).

KRONIKA BIEŻĄCA.

Tryumf. Komisya, wyznaczona do sprawdzenia odkryć Pasteura w przedmiocie wścieklizny, stwierdziła zupełną ich wiarogodność. Z 42 psów, użytych do doświadczeń, 23 zaszczepiono wściekliznę i bądź poddano ukąszeniom wściekłych, bądź wstrzyknięto im jad. Wszystkie wyszły z próby zdrowo. Drugi to już raz odkrycie Pasteura zyskuje zupełne potwierdzenie urzędowe.

Prasa. *Tygodnik powszechny* przesłał swym abonentom w bezpłatnym darze gustowny oleodruk Brandta „Towarzysze pancerni.“ Kronikarz tego pisma, odpowiadając na uwagę naszą o artystycznym upadku ilustracyj, na których muzykanci grają lewemi rękami, powiada: „Skoro tylko prasa rozwinie się tak pomyślnie, że nawet kucharki zaczną prenumerować pisma ilustrowane, choćby tylko dla wyklejania niemi kuferków, to i strona artystyczna tych pism podniesie się znakomicie.“ A zatem dopóki kucharki nie zaczną prenumerować tygodników obrazkowych, ich grajkowie smyczków a woźnice biczów w prawej ręce trzymać nie mogą - ani przypuszczaliśmy takiej zależności. Ale przynajmniej powiedziano szczerze.

Hojny dar złożyli pp. L. Mayer, E. E. Herbst i K. K. Scheibler, właściciele fabryk w Łodzi, na ręce p. gubernatora piotrkowskiego. Każdy z nich ofiarował 500 rs., czyli razem 1,500, przeznaczając tę sumę na naprawę cerkwi prawosławnej w Piotrkowie. Wiadomość powyższą podaje *Warsz. Dniewnik.*

Zjazd literacko-artystyczny, który się miał odbyć d. 5 września b. r. we Lwowie, zostanie prawdopodobnie odwołany.

Komedya. Byłym dyrektorom banku włościańskiego we Lwowie wytoczono śledztwo.

„Epidemia“ Narzymskiego będzie niebawem wystawioną w Karsbadzie na scenie niemieckiej.

Akademia krakowska. Na dwu posiedzeniach wydziału historyczno-filozoficznego, w dniach 10 i 12 z. m., czytał hr. Wojc. Dzieduszycki pracę swą p. t. „Geografia dawnej Polski,“ opartą na odnośnych tekstach Herodota, Cezara, Strabona, Tacyta, Pomponiusza Meli, Pliniusza i Ptolomeusza. Tylko czterem pierwszym przyznaje autor charakter źródeł wiarogodnych — trzech ostatnich uważa za niekrytycznych kompilatorów. Główniejsze, różne od innych badaczów, zapatrywania hr. Dz. są następujące: ludy scytyjskie Herodota nie mieszkały głębiej, jak na Podolu i Ukrainie. Borystenes, to Inguł dolny, a nie Dniepr, który jest zapewne Gerrosem starożytnym. Wiadomości starych geografów rozciągały się jedynie na wybrzeża Czarnego morza; najdalej rozpoznał Ukrainę tylko Herodot. Lygiowie — wbrew zdaniu Szafarzyka—byli ludem czysto germańskim i mieszkali razem z wandalami na lewym brzegu Odry, która rozgraniczała Germanię od Sarmacyi. Wiadomości starożytnych o ziemiach polskich nie sięgały poza właściwe pasmo Karpat, bieg Dniestru i wybrzeża Bałtyku po miasto Puck na Kaszubach. Stwierdza dalej autor istnienie ludów łotewskich, celtyckich i czudzkich na obszarach dawnej Polski, uważa jednak słowian za pierwobylców na porzeczu Wisły i północnych stokach Karpat. Erydan Herodota, to Wisła, góry Ryfejskie — Karpaty, Hyperborejczycy — wendowie. Nazwy te przeniesiono później pod biegun północny. Szerokość znanego Ptolomeuszowi pasa ziemi na północy należy znacznie zwęzić, bo chcąc popisać się swą erudycyą, długość kilku zaledwie mil rozszerzał on na kilka stopni. Oznaczenie geograficznego położenia podanych przez niego miejscowości jest skutkiem tego niezmiernie utrudnione i wątpliwe.

— Dnia 11 z. m. obradowała komisya historyczna. Ks. Polkowski zdał sprawę z poszukiwań w archiwum kapitulnem krakowskiem, którego katalog szczegółowy przygotowywa do druku. Ważny to materyał historyczny, obejmujący prócz dyplomatów 720 ksiąg. Są tam protokoły posiedzeń kapituły od roku 1438, korespondencye z królami, instrukcye na synody, akta fundacyjne — mnóstwo wiadomości największego znaczenia dla stosunków politycznych i kościelnych. Księgi znów dochodu i wydatków, inwentarze, rewizye i taksacye dóbr przedstawiają nieprzebrane źródło do poznania stosunków ekonomicznych. Ponieważ ułożenie katalogu potrwa lat parę, uchwalono sprawozdanie ks. Polkowskiego ogłosić drukiem. Na tem samem posiedzeniu poruszył dr. Piekosiński na nowo sprawę opracowania opisu dyecezyi krakowskiej t. z. *Cracovia sacra*.

Zmarli: Dr. Tomasz Bratranek, profesor języka i literatury niemieckiej w uniwersytecie jagiellońskim, d. 2 b. m. w Bernie morawskiem. Zmarły przełożył wiele polskich utworów poetyckich na język niemiecki.

— Stan. Sobieski, pedagog i publicysta, w Warszawie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Bol. Popl. Nie będzie to żadne dzieło, ale katalog dla samouków, którego wyjście tamują niepokonane dotąd trudności.

P. K. Frąckiewiczowi. Drugiem wydawnictwem Spółki Nakładowej będzie książka dla dzieci, której cena nie jest jeszcze oznaczoną, przedpłaty więc przyjmować nie możemy.

P. Z. H. w Kapuścianach. Listów Ch. nie ma.

Pani Z. w Jeremiczach. W oprawie niema; posyłamy bez oprawy.

P. P. w Astrachaniu. Wysłane książki wraz z przesyłką kosztują rs. 7 kop. 72; pozostaje więc do rozporządzenia rs. 1 k 28. *Piękna* wyczerpana.

P. K. w Sopówce Żądana książka wyczerpana; będzie drugie wydanie wkrótce.

P. K. w Horodkowie. Poprzednio i obecnie wysłane książki wraz z przesyłką rs. 8 kop. 33; otrzymaliśmy rs. 10, pozostaje Panu rs. 1 k. 67.

P. Bolesławowi. Wiadome książki nie wyszły.

P. M. R. w Niemcach. Szkice Spencera rs. 2 k. 80, przesyła kop. 32; należy się nam rs. 2 k. 12, odtrącamy rs. 1 będący u nas.

Z. H. w Koroczy i K. B. w Berezniakach. Na pomoc wyczerpane; pieniądze dołączyliśmy na powodzian.

OFIARY.

Dla powodzian. Z. H. z Koroczy rs. 2, Łopaciński z Woronczewskiej gub. rs. 3, Dr. Rodziewicz z Nerechty dla galicyan rs. 5, Kazimiera Berezowska z Berezniaków rs. 10.

Dla biednej. Z. H. z Koroczy rs. 1, M. K. z prowincyi rs. 2, Zebrane pomiędzy dziećmi na przedstawieniu amatorskiego teatru w Udryczach rs. 20 k. 56.

Dla biednych. Cielewicz z Dynaburga kop. 50.

Dla biednych uczniów, Adolf M-m przysądzone mu za komorne od Tytusa M. rs. 100 w rozpłacie miesięcznej po rs. 10.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 3 Августа 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.